

2

JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ NA ZACHODZIE

Upłynęły niecałe dwa tygodnie od oswobodzenia Kielc przez Armię Radziecką, gdy pewnego mroźnego styczniowego wieczoru 1945 roku wszedłem do niepozornej świetlicy przy ulicy Kolejowej. Plakaty rozwieszane po mieście zapraszały na pierwsze zebranie członków i sympatyków PPR. Zgromadziło się nas wszystkiego szesnaście osób - na każdego przypadało dziesięć tysięcy mieszkańców, którzy nie przyszli.

Podczas zebrania ktoś poruszył sprawę wolnych wniosków. Na to poderwał się młody mężczyzna w chłopskich butach z cholewami i zawołał: - Wysyłamy depezę do Stalina, tylko żeby miała i ręce, i nogi.

Po tylu latach już się nie pamięta, o czym tam rozprawiano. Zakończenie jednak utkwilo mi w pamięci. Wstał siwy mężczyzna, przedwojenny komunista. Swe krótkie przemówienie zakończył wołając: - Na murach, gdzie dziś czerwoną farbą malują... PPR - ZDRAJCY..., kiedyś zakwitną czerwone róże.

Słowa jego wzruszyły widownię. Wyobrażając sobie róże, nie myśli się o kolcach ukrytych pod kwiatem, a co dopiero o samych kolcach bez kwiatu, a już nigdy o więzieniu otoczonym lasem róż kolczastych zamiast kolczastego drutu.

Poznałem na zebraniu, tym i kilku następnych, niebrzydką brunetkę o zawziętych rysach i wesołego lwowiaka. Oboje członkowie partii od dawna.

Najważniejsi, towarzysz Demianow i towarzysz Kula, na zebrania nie przychodzili. Czasem można ich było spotkać w sekretariacie partii. Przysadzisty towarzysz Kula niczym szczególnym się nie wyróżniał. Za to wyschła twarz chudego towarzysza Demianowa przykuwała uwagę. Wryte na niej były jakieś mocne przeżycia osobiste. Mógłby to być wieloletni staż w roli i ofiary, i oprawcy.

Pod koniec lutego wybrałem się z matką na kilka dni do Warszawy zobaczyć, czy nasz dom stoi. W Częstochowie przenocowaliśmy u kuzynów znajomych z Kielc. Inaczej trzeba by było spać na nieopalanym dworcu. Następny postój przypadł w Ursusie. Tutaj wuj pożyczył mi swoje buty. Moje przemokły i

zaczynały się rozłazić. Buty wuja wykonał chyba stolarz. Składały się z drewnianej podeszwy, do której gwoździkami przybito czarną ceratę zamiast skóry. Wuj bardzo je chwalił.

Od najbliższej szosy do Warszawy dzieliły nas dwa kilometry marszu w topniejącym śniegu i rozmięklej glinie. Wkrótce zachlupało mi w butach. Szczęściem nawierzchnia szosy była względnie sucha. W kierunku przeciwnym, na zachód, ciągnęły kolumny polskiej piechoty.

W miarę gdy zbliżaliśmy się do miasta, wśród zaśnieżonych pól coraz częściej widzieliśmy domy. Pierwsze zgłiszcza wskazywały, że to już Warszawa. Po lewej minęliśmy stojący na podwyższeniu kościół w stylu gotyckim, gdzie gestapo przeprowadzało selekcje. Wtedy, pół roku temu, 21 września, w południe, u szczytu schodów przed wrotami stało dwóch w mundurach SS. Kto podpadł, temu w czapę. Pozostałych wpuszczano do kościoła.

A oto Kercelak - tu pierwszy raz w życiu zobaczyłem wybuch pocisku.

Skrzyżowanie Wroniej z Chłodną - tu pierwszy raz w życiu strzeliłem z karabinu, a obok za rogiem otrzymałem awans na kaprała.

Już nie czułem wody w butach, może zagrzała się.

Gdzieś daleko, po przeciwnej stronie morza ruin, rok temu stał nasz dom. Niesamowita była ta wędrówka przez umarłe miasto, wśród takiej ciszy, że czasem słyszało się echo własnych kroków. Zwały gruzu, leje, coraz to grodziły drogę. Śnieg grubą warstwą okrywał jezdnie, chodniki. Białymi czapami siedział na szczytach osmolonych ruin, na barykadach, nadając miastu podniosły charakter, przywodząc myśl o majestacie śmierci. Zastanowiło mnie, że tyle piękna może być w zniszczeniu.

Łatwo dało się odróżnić te budynki, które Niemcy obsadzili od samego początku powstania. Nie nosiły śladów walki, nawet jeśli były wypalone. Na ważniejszych arteriach miasta Niemcy rozebrali barykady, zasypali przekopy i rowy przeciwczołgowe, odrzucili gruz, aby sobie ułatwić poruszanie. Wzdłuż tych ulic wiodły ścieżki wydeptane w śniegu przez wracających warszawiaków. Na placu Trzech Krzyży odruchowo obróciłem głowę w lewo, jak to robiłem dawniej, zerkając na wielki zegar umieszczony wysoko w ścianie Instytutu Głuchoniemych. Teraz u szczytu, w osmalonym murze, w miejsce tarczy zegara, przeświecał okrągły otwór.

Ponad pokryte śniegiem trawniki i klomby wystawały krzyże

zbite z byle czego. Masywny budynek hotelu sejmowego - koszary Ordnungspolizei, stał nietknięty, podobnie jak pobliski dom akademikzek, gdzie kwaterowała ukraińska policja.

A oto ulica Rozbrat. W masywnych kamienicach olbrzymie wyrwy od bomb. Dawne Żeńskie Gimnazjum Handlowe zamienione w Soldatenheim, tędy wdarli się Niemcy. Wchodzimy w Śniegocką. Narożnik ulicy Kuźmińskiej odcięty równo, jak toporem. Na ścianach dzioby po odłamkach i kulach. Nasza kamienica wygląda tak samo jak wtedy, gdy uciekałem. Środkiem podwórza, ścieżka wydeptana w śniegu prowadzi do parterowej dozorcówki. Okno zabite dyktą - znak życia. Wewnątrz ciepło. Dozorca wrócił pierwszy i był jedynym mieszkańcem domu. Z opalaniem nie miał trudności. W piwnicach leżało mnóstwo niczyjego węgla. W mieszkaniu dozorca matka rozpoznała nasze srebro stołowe, ale dyplomatycznie udała, że nie widzi.

Rozmowa od razu zeszła na powstanie. W dwa dni po moim wyjściu i w dzień po wyjściu rodziców, dom zajęli Niemcy. Odbyło się to bez walki, ponieważ powstańcy wycofali się przed świtem na linię ulicy Czerniakowskiej. Jeden z nich, o nazwisku Mrowieć, zasnął we własnym mieszkaniu. Gdy go obudzono, Niemcy stali już na podwórzu. Zdążył się jeszcze przebrać w cywilne ubranie, dołączył do reszty i ocalał.

Zdrowych młodych mężczyzn Niemcy zabrali do różnych robót na linii frontu: rozbierania barykad, grzebania trupów, wynoszenia z pola walki własnych rannych i zabitych żołnierzy. Podczas tych zajęć dwaj synowie dozorca widzieli jak esesmani prowadzili mojego kolegę Adamczyka. Mieszkał w naszej kamienicy. Przypadek sprawił, że w południe 15 września czterech nas znalazło się w ciasnej, niegłębokej, półtorametrowej, ocembrowanej studzience, chroniąc się tam pod obstrzałem karabinu maszynowego. Spędziłem wtedy straszne dwanaście godzin, w mroku pod pokrywą, zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią. O północy, ja z niejakim podchorążym Romanem wypęzliśmy i przed świtem dotarliśmy do polskich pozycji na Wilanowskiej. Adamczyk postanowił zaczekać na przyście Rosjan, najwidoczniej uważając, że nie uda nam się przedrzeć przez stanowiska Niemców, których głosy było słyszeć w pobliżu. Razem z nim pozostał piętnastoletni chłopak. Przed paroma tygodniami chłopak wrócił do Warszawy. Jeden z synów dozorca niedawno z nim rozmawiał i oto czego się dowiedział:

Po naszym wyjściu w studzience zrobiło się luźniej,

przynajmniej mogli trochę wyprostować nogi. Z nadejściem dnia nic nie zmieniło się na lepsze. Aż do zmroku trwała strzelanina, dokoła rwały się pociski, nie wiadomo czyje. Potem przyszła spokojniejsza noc i znowu straszny dzień. Skurczeni, w kucki, w mroku pod pokrywą, bez jedzenia i wody, przetrwali tak ze dwa dni i dwie noce. W końcu wyszli na wierzch. Syn dozorczy krótko rozmawiał z chłopakiem i nie dowiedział się bardziej szczegółowo, co zaszło później.

Wysuszywszy się przy piecu, wyruszyłem na pobojuwisko obok. Czworobok ograniczony ulicami Czerniakowską, Zagórną, Wilanowską oraz rzeką zawierał tylko strzepy miasta. Niedawna historia tej dzielnicy zapisana była na murach żelazem i ogniem. W ciągu zaledwie godziny przeszedłem swoim tropem, czyli inaczej mówiąc szlakiem bojowym (i nie bojowym) od Zagórnej, przez Okrąg, Wilanowską do Solca, co wówczas zajęło mi cały tydzień. Teraz będąc niezaangażowanym spacerowiczem, odnajdując na murach ślady po tych kulach i pociskach, których uderzeń byłem świadkiem, starałem się zrozumieć lepiej to, co się wtedy działo.

A oto miejsce, gdzie pod obstrzałem zgubiłem moich przyjaciół. Odkrywając dziurę w murze, której wtedy nie zauważyłem, teraz rozumiałem dlaczego zniknęli bez śladu.

Stamtąd wyszedłem na otwartą przestrzeń zwaną Magajem. Pośrodku stała tak jak wtedy ugniatarka asfaltu, obok studzienka, a przy niej pokrywa. Na dnie studzienki leżała butelka po cacao chois. Wówczas, ukryci pod pokrywą, usłyszawszy niemieckie głosy, szybko wypiliśmy jej zawartość. Adamczyk zaś wyjął z portfela legitymację AK, złożył ją i wcisnął w szparę pomiędzy deskami.

Zeskoczyłem na dno studzienki. Legitymacji nie było. Jej brak zaskoczył mnie tak jak i odnalezienie butelki, dowodu i świadka tamtych wydarzeń.

Wkrótce zwłoki Adamczyka odnaleziono w masowym grobie.

Dlaczego jego rozstrzelali a puścili chłopaka, który przecież wzrostem dorównywał dorosłym. Zabijali i dzieci. Czyżby po dwóch dobach siedzenia w kucki, w mroku pod pokrywą, bez wody, Adamczyk uwierzył, iż pokazując legitymację AK uzyska prawa kombatanckie zagwarantowane konwencją genewską? Przecież nie miał na sobie nic wojskowego, co by wskazywało na jakiegokolwiek powiązanie z powstaniem, nawet sznurowadeł. Bezbarwna legitymacja w szparze pomiędzy deskami była prawie niewidoczna.

Czyżby Niemiec zeskoczył na dno studzienki szukając czegoś?

Ukrytej radiostacji? I zauważył mały zwitek papieru w szparze? Adamczyk mówił płynnie po niemiecku. Może to mu zaszkodziło? Może powiedział za dużo?

Poszedłem obejrzeć Okrąg nr 2, gdzie po raz ostatni, przez trzy dni byłem żołnierzem. I dalej na Wilanowską i Solec. Spadło tam tyle pocisków, iż - wbrew temu co się powszechnie uważa - uderzały więcej niż raz w to samo miejsce.

Następnego rana wyruszyłem na Stare Miasto. Mróz chwycił, obracając błotko i rozmiękły śnieg w twardą grudę. Buty wuja tym razem nie sprawiły zawodu. Minawszy Ogród Saski zgubiłem się wśród zaśnieżonych zgliszcz. Nie było kogo spytać o drogę na tym pustkowiu. Na północ od Alei Jerozolimskich rzadko kiedy napotykało się człowieka. Gdy tak rozglądałem się, kręcąc w kółko, dostrzegłem w oddali mężczyznę, który także rozglądał się. Podszedłem do niego, aby zasięgnąć języka i ku swemu zdumieniu poznałem kolegę gimnazjalnego, Kulczyckiego. Mieszkał niedaleko mnie, na Wilanowskiej. Interesował się fotografią. Kilka lat temu zrobił mi portretowe zdjęcie z fajką w zębach. Robił portretowe zdjęcia i innym kolegom, też zwykle z fajką. Miał ich kilka do wyboru. Kulczycki wiedział czego szukam. Podążyłem za nim i wkrótce znaleźliśmy się przed imponującym wypalonym budynkiem. Przejście pomiędzy jego dwoma skrzydłami pokrywał szkielec szklanego dachu. Kulczycki twierdził, że to Pasaż Simonsa. Wytłumaczyłem mu dokładnie położenie Pasażu. Zawrócił i za kilka minut wyszliśmy na skrzyżowanie Bielańskiej z Długą. Stałem. Stąd ostrzeliwały nas czołgi i działa szturmowe. Na wprost groteskowe rumowisko przyprószone śniegiem -Pasaż Simonsa.

Każda szczerba, każda wyrwa, każda zgięta stalowa belka należała do historii mojego życia. Choć spędziłem tam kilkanaście pamiętnych dni i nocy, nie mogłem wiedzieć, jak wygląda nasza pozycja od niemieckiej strony. Od polskich stanowisk dzieliło mnie wąskie pasmo ziemi niczyjej. Jakby niewidoczna ściana pomiędzy życiem a śmiercią, ja zaś stałem po stronie śmierci.

Doświadczyłem niezwykłego zamętu. Jakby terażniejszość zderzyła się z przeszłością i obie stopiły się w jedno. Śnieg stycznia i żar sierpnia. Cisza i ryk armat. Odległości, do których przebiegnięcia wtedy nie wystarczyłoby życia, teraz zrobiły się śmiesznie krótkie.

Dowiedziałem się, że Edek żyje. Dotąd byłem niemal pewny, że zginął. Odwiedziłem go w Milanówku. On także nie oczekiwał, że mnie kiedykolwiek zobaczy.

Na wieść, że organizuje się uniwersytet na dalekim Grochowie, udałem się tam natychmiast. Widok tego, co ocalało na Pradze, przygnębiał równie jak widok zniszczenia po warszawskiej stronie rzeki.

W drodze powrotnej do Kielc przyszło mi na myśl, czy w ogóle będę mógł znaleźć sobie miejsce w Polsce.

Front przebiegał gdzieś daleko na niemieckiej ziemi, a wojna zdawała się nie mieć wpływu na wydarzenia codziennego życia. Ojczym pracował, bracia chodzili do szkoły, matka gospodarowała. Jak długo mogłem się obijać i po co?

Trzeba było iść do jakiejś pracy lub powrócić do przerwanych studiów lekarskich. I jedno, i drugie wymagało stałego miejsca zamieszkania. Kielce były nudne i obce, a Warszawy nie było. Jedno i drugie wymagało osiadłego trybu życia. Po pożodze wojny i fajerwerkach powstania, sama myśl o tym wzbudzała we mnie wstręt.

W marcu Komitet Miejski PPR powiadomił członków i sympatyków o formowaniu grupy pionierskiej celem wyjazdu na ziemie, które właśnie zaczynano nazywać odzyskanymi. Do nas, kilkunastu kielczan, dołączyli ochotnicy ze Starachowic i Ostrowca. Z PPR, PPS i nawet ze Stronnictwa Demokratycznego. Głównie robotnicy, kilku półinteligentów i ja. Razem trzydzieści osób, w tym parę kobiet.

Szron bielił gałęzie i zeschłe liście, gdy o świcie ładowaliśmy się do wagonów. Do Częstochowy dojechało się gładko w zarezerwowanych przedziałach. Dalej szły już tylko wojskowe pociągi zwane eszelonami. Zapewne ta wyprawa była zaplanowana na wyższym polsko-radzieckim szczeblu, jako że dostaliśmy pozwolenie na dalszą podróż wojskowym transportem. Cały pociąg składał się z otwartych płaskich platform. Na każdej stał czołg okryty grubą plandeką, czy to dla kamuflażu, czy po to, by nie przemókł. Zima zaledwie ustąpiła, na polach do niedawna śnieg jeszcze leżał płatami. Na otwartej platformie można było zmarznąć, jeśli nie na śmierć, to na kość. Mżyło i dmuchało. Przyszło mi do głowy schronić się wewnątrz czołgu. Wchodziło się przez wieżyczkę, ale ciężka plandeka nie dała się unieść. Wsunąłem się więc między zwisającą na boku plandekę a czołg. Jeśli nie było tu cieplej, to w każdym razie nie padało i nie wiało. Tylko wąska przestrzeń pozostawała pomiędzy gąsienicą a brzegiem platformy i łatwo było spaść z wagonu. Eszelon włókł się, przystawał. Tory zerwane przez ustępujących Niemców, zreperowane naprędce i to po jednej stronie tylko, nie nadawały się

do szybkiej jazdy. W wąskiej przestrzeni między czołgiem a plandeką panował mrok. Mdłe światło zaledwie sączyło się szczeliną od dołu. Monotonne, miarowe, powolne postukiwanie kół usypiało. Znużenie dopełniało reszty. Zapadałem w sen stojąc. Szczęściem gruba plandeka bardzo powoli ustępowała pod naciskiem ciała. Tracąc równowagę budziłem się pośród lęku.

Nocowaliśmy na kwaterze w Trzebnicy nietkniętej wojną. Później usłyszałem, że spaliła się. Zabroniono kręcić się po bezludnym mieście - była to strefa przyfrontowa. Potem znowu jechaliśmy normalnymi wagonami z transportem wojskowym - niedługo. Trzeba było wysiadać i dalej iść piechotą. Wrocław wciąż się bronił, dudnił artylerią i dymił. Obchodziliśmy miasto szerokim łukiem, polnymi drogami. Pogoda odmieniła się: zaświeciło słońce; zapachniało wiosną. Szliśmy krajem zagospodarowanym, bogatym. Schludne kamienne wioski, murowane stajnie, chlewy, obory. Porzucone zaprzęgi stały gotowe do jazdy. Tu i ówdzie wschodziły oziminy zieleniąc pola. W sadach pączkowały drzewa. Natura budziła się do życia, podkreślając tylko martwość i cmentarną ciszę. Minęliśmy zabudowania gospodarskie. Na podwórzu leżały świny, rozdęte, podobne do różowych baloników z przyklejoną głową i ogonem. Albo je zastrzelili Niemcy, aby żywe nie wpadły w ręce wroga, albo Rosjanie, podejrzewając, że są zatrute. Nie zaczerpnąłem wody ze studni, choć wielu ją piło, z obawy, że zawiera wolno działającą truciznę, lub że jest zakażona tyfusem i czerwonką. Za to narwałem rabarbaru i żując go wyssałem sok. Szliśmy cały dzień nie napotykając ani żywego cywila, ani żywego zwierzęcia. Jedną noc przyszło nam spędzić w przyklasztornej sali noclegowej. Zakonnice, które zaopiekowały się nami, mówiły płynnie po polsku, choć z jakimś akcentem. Wzięłem je za Polki mieszkające w Rzeszy. Opowiadając o niedawnych wydarzeniach, używały nieraz zwrotu „nasi żołnierze”. Nie od razu odgadłem, że „nasi żołnierze” to Niemcy. W czasie tej wędrówki nie opuszczało mnie uczucie, że tym razem należę do zwycięzców.

Po kilku dniach dotarliśmy do celu wyprawy, do Lignicy, którą dziś zwą Legnicą. U naszych stóp, trzydziestu pionierów z Kielc, Ostrowca i Starachowic, leżało miasto znane z podręczników historii. Tu przed siedmiuset laty Mongołowie pobili sprzymierzone wojska polskie i niemieckie. Miasto rozległe, bogate i bezludne. Czyste, niemal wymuskane. Z ludności Lignicy podobno pozostało siedmiuset Niemców zamkniętych za drutami, pracujących w

elektrowni. Rzadko, nie każdego dnia, spotykało się na ulicy Niemca. Zawsze byli to mężczyźni w bardzo podeszłym wieku. Mijając nas, młokosów, zdejmowali kapelusz kłaniając się i pozdrawiali: „*Guten Morgen, Guten Tag, Mahlzeit*” lub inaczej w zależności od pory dnia. Czuję się odrobinę zaambarasowany. Nikt od nich nie wymagał, aby tak się upokarzali.

W Ostrołęce, przyłączonej do Reichu w 1939 roku, władze niemieckie zarządziły, aby każdy Polak mijający Niemca zdejmował swe nakrycie głowy. Mój dziadek, wtedy już dobrze po siedemdziesiątce, widząc z dala mundur, przechodził na drugą stronę ulicy.

Punktem centralnym naszego życia stała się stołówka wydająca gorące, głodowe racje. W pamięci utkwiły mi kolacje składające się zwykle z kromki chleba i „miętówki”, czyli herbaty miętowej bez cukru. Kiedyś jeden z pionierów pobrał wielokrotnie dolewkę miętówki. Na moją uwagę, że przeciąża nerki, odparł: - woda przeleci, mięta zostanie.

Miasto stało otworem... Można było wziąć w posiadanie mieszkanie, willę, kamienicę... Po lekarzu, po bankierze, po generale. Można było dom podpalić.

Prawdę mówiąc my, pionierzy, nie byliśmy jedynymi mieszkańcami Lignicy. Założył tu swoją siedzibę radziecki szpital wojskowy. Widziało się od czasu do czasu rekonwalescentów spacerujących grupami po mieście.

Ze względów bezpieczeństwa pionierzy na razie zamieszkali w promieniu ćwierć, może pół kilometra od stołówki. Właściwie to nic nie groziło, nie więcej niż na cmentarzu nocą. Zaprzyjaźniłem się z nieco starszym starachowiczanie, łysiejącym blondynem. Postanowiliśmy nie rozstawać się i zamieszkać w tym samym domu. Rozejrzawszy się po okolicy, wprowadziliśmy się do eleganckiej kamienicy pod numerem drugim przy krótkiej ulicy Raupachstrasse. On na pierwsze, ja na drugie piętro. Dzielnica była ładna, naprzeciw mały park, a w pobliżu rozległy plac. Ten wybór był nietypowy, moda bowiem nakazywała zajmować jednorodzinne wille.

Poza nami dwoma nikt nie zamieszkał przy Raupachstrasse. Naszym najbliższym sąsiadem, jakieś dwieście metrów za rogiem, był trup starszego mężczyzny. Leżał na podłodze w jadalni. Sądząc po rdzawej plamie na spodniach, umarł od kuli. Natknąłem się na niego, szukając skarbów i jedzenia. Zachodziłem tam od czasu do czasu. Choć się ocieplało, ledwo zmieniał kolor. Nawet po kapitulacji

Niemiec, gdy do miasta już mnóstwo ludzi zjechało, nikt nie wprowadził się do kamienicy, gdzie zakończył życie. Pozostał sam w pustym domu, jak we własnym mauzoleum.

Na razie pionierzy nie mieli żadnych obowiązków poza zasiedleniem miasta. Trzy razy dziennie spotykaliśmy się w stołówce. Na obiad zupa, śniadanie i kolacja - miętówka z razowcem. Nikt nie padał z głodu, ale nie można było przestać myśleć o jedzeniu. Trzeba było dożywiać się samemu. Ludność uciekając na Zachód zabrała co lepsze zapasy. Pozostały tylko owocowe kompoty bez cukru. Miały one znikomą wartość odżywczą. Niemniej każdego dnia dużo czasu poświęcało się myszkowaniu po piwnicach w poszukiwaniu czegoś jadalnego. Wkrótce kompotów zabrakło. Pozostały tylko, i to w dużej ilości, marynowane owoce, kształtu i wielkości wiśni o obrzydliwym smaku. Kilka razy naciąłem się i od razu wyplułem.

Niedostatek jedzenia kompensowała nieograniczona wolność. Nie było żadnej władzy. Nie obowiązywało żadne prawo poza moralnym. Nie było własności prywatnej zatruwającej stosunki pomiędzy ludźmi. Wszystko należało do wszystkich i do nikogo. Można było brać w posiadanie, nie odbierając innemu. Można było niszczyć, nie niszcząc cudzego.

Elektrownia pracowała pełną parą i prądu dla miasta nie wyłączono. W wielu mieszkaniach bez przerwy paliły się żarówki. Po zapadnięciu zmroku to miasto nietknięte wojną sprawiało niezwykle wrażenie. Ciche jak cmentarz o północy, ze światłami jarzącymi się tu i ówdzie w oknach, w bramach, rozpraszającymi ciemności jak świece w dniu Zaduszek. Prawdopodobnie mieszkańcy opuścili Lignicę pomiędzy zachodem a wschodem słońca i nie wszyscy wyłączyli elektryczność. Oszczędni Niemcy musieli uciekać w wielkim pośpiechu. Front przebiegał niedaleko. Podobno o niecałe dwadzieścia kilometrów. Czasem słychać było jego pomruk, gdy wiatr wiał ku nam, zwłaszcza nocą.

Poszukiwanie żywności było koniecznością życiową coraz rzadziej uwieńczoną mizernym sukcesem. Za to szaber obfitował w niezapomniane przeżycia. To bogactwo - którego można było brać, ile się chciało, ale które miało wartość przysłowiowych diamentów na pustyni - wielu ludziom odbierało rozum. Podczas gdy ja i starachowiczanie już po dwóch czy trzech dniach wprowadziliśmy się na Raupachstrasse, większość pionierów, oszołomiona i oślepiąta nieograniczonymi możliwościami, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca

zamieszkania. Nawet ja, choć z doktorskiej rodziny, chwilami traciłem zdrowy rozsądek na widok tych nagromadzonych przez wieki dóbr, a co dopiero ci biedacy z suteran i lepianek, którzy w życiu niewiele zaznali poza ciężką pracą i marnym zarobkiem. Ci „bezdomni” sypiali obok stołówki, a dniem chodzili, zwykle po kilku, od willi do willi, nie mogąc podjąć decyzji. Temu nie odpowiadało, że weranda wychodziła na północ; tamtemu, że fortepian był w nieodpowiednim kolorze; okna to za duże, to za małe; żyrandol nie przypadł do gustu; nie takie meble.

Czasem dwaj kumple chcieli zamieszkać obok siebie. Jednemu podobała się willa, drugi nie mógł znaleźć odpowiedniej w pobliżu, więc obaj szli dalej. Nasłuchiwałem się tych smutnych opowieści przy wieczornej miętówce. Zachodzili ci „bezdomni” do stołówki po całodziennych poszukiwaniach, utrudzeni, mając w nogach wiele kilometrów i pięter, w stanie pogłębiającej się frustracji. Byli i tacy, którzy znaleźli wymarzony dom, wprowadzili się, a potem znaleźli jeszcze bardziej wymarzony. A było w czym wybierać. W Lignicy mieszkało wielu emerytów, ludzi zamożnych, oficerów, przemysłowców. Do skromniejszych dzielnic nikt nie zachodził.

Szabrem mienia porzuconego zajmowali się chyba wszyscy, nie porzuconego nie było. Typowy szabrownik, z pustym workiem przerzuconym przez plecy, ruszał w drogę po porannej miętówce. Szedł od domu do domu wypatrując najwartościowszych i najłżejszych przedmiotów. Tym wymaganiom najlepiej odpowiadały dwa towary, czólenka do maszyn do szycia i skóra. Potem dopiero szły kryształ, srebro stołowe i cokolwiek, co wyglądało na srebro. Na widok fotela obciągniętego skórą, szabrownik sięgał po nóż, wycinał połec skórę i wrzucał do worka. Wydawać by się mogło, że gdy worek wypełnił się, szabrownik powinien wrócić do domu. Wcale nie. Szedł dalej pomimo ciężaru na plecach z nadzieją, że trafi na coś jeszcze lepszego. I trafiał. Skóra na innym fotelu prezentowała się bardziej okazale, więc wycinał nowy połec, wyrzucał poprzedni. I tak pełny worek zmieniał powoli swą zawartość.

Nigdy nie spotkałem tyłu osób opukujących ściany w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Czasem pruli podejrzaną kanapy, materace, pierzyny. Ja sam nabrałem znacznej wprawy w opukiwaniu po prostu z ciekawości, nie wierząc, że cokolwiek znajdę. Sądzę, że ten staż przydał mi się w późniejszych studiach lekarskich.

Widywało się ludzkie ekskrementy w najbardziej nietypowych miejscach. Pośrodku łóżka na poduszce, w damskich kapeluszech, w

cylindrach, w kryształowych wazonach. Bardziej cywilizowani wypróżniali się na podłogę. Wody na piętrach nie było, zaledwie sączyła się w piwnicach, więc chodzenie do ubikacji częściowo miało się z celem. Wydawało mi się to i obrzydliwe, i zabawne.

Raz kręcąc się po mniej eleganckiej dzielnicy wszedłem do fabryki. Przez chwilę zdawało mi się, że odkryłem żyłę złota. Szeregami, jak żołnierze na musztrze, stały maszyny do szycia. Rozczarowanie przyszło szybko. Były to elektryczne przędzalki, czy coś w tym rodzaju, a ich duże czółenka nie pasowały do singerowskich maszyn.

W bezludnym mieście powinno być obojętne, czy się spało przy otwartych, czy przy zamkniętych drzwiach wejściowych. Przyzwyczajenie jednak sprawiało, że nie tylko je zamykałem, ale barykadowałem kilkoma krzesłami ustawionymi jedno na drugim, a pod poduszkę na wszelki wypadek kładłem żelazny pręt. Wychodząc zatrzaskiwałem drzwi mieszkania. Wracając otwierałem je śrubokrętem lub nożem, uprzednio poluzowawszy w tym celu listwę przy zamku. Zamknięte drzwi naturalnie pobudzały ciekawość. Zdarzało się, gdy już przybyło ludności, że ktoś usiłował je wyważyć. Próby włamania ustawały natychmiast, jak tylko się odezwałem. Czasem byli to nasi, czasem Rosjanie-rekonwalescenci. Raz na dźwięk mego głosu, dwaj żołnierze w szpitalnym odzieniu zjeżdżali po schodach, aż dudniło. Z balkonu widziałem, jak w pośpiechu wypadli na ulicę.

Właściwie nie musiało się spać w tym samym domu każdej nocy. Nic nie stało na przeszkodzie codziennej zmianie adresu, czyli powrotu do życia koczowniczego. Co za różnica czy w tym, czy w tamtym łóżku. Zabarykadować drzwi krzesłami, pręt pod poduszką, i człowiek czuł się jak u siebie w domu. Trudno opisać uczucia i myśli, których doznawałem plądrując dziesiątki czy setki mieszkań. Pokoje dziecinne z maleńkimi łóżkami, rozrzucone zabawki, rodzinne fotografie, mundury i ordery, niektóre z ubiegłego, a może i ubiegłych stuleci. Żelazne krzyże za tę i poprzednie wojny, schowane w szufladach i starannie owinięte.

Wybierałem się na szaber nie bardzo wiedząc, co brać poza czółenkami maszyn do szycia. Zebrałem ich z dziesięć. Mówiono, że w Polsce robi się grube pieniądze, sprzedając je na czarnym rynku. Można było sobie wyobrazić frustracje przyszłych właścicieli maszyn do szycia zamieszkałych w Lignicy, zmuszonych jechać do Kielc, Starachowic i Ostrowca w poszukiwaniu czółenek.

Szlifowane kryształy, mieniające się wszelkimi kolorami, zrazu najbardziej przyciągały uwagę. Tyle ich jednak było, że człowiek szybko się z nimi oswoił i już tak nie czarowały. Obrazy - można je było wyjąć z ram, zwinąć w rulon i do worka. Odcyfrowywałem podpisy malarzy z nadzieją, że odnajdę jakieś znane nazwisko. Coś słyszałem o sławnej porcelanie meissenowskiej. Niestety, nie potrafiłem odróżnić jej od zwykłego fajansu. Zresztą i tak by nie przetrzymała podróży w worku. Gromadzenie wartościowych przedmiotów w mieszkaniu nie wiele miało sensu. Przecież ktoś się mógł włamać i zabrać je w czasie, gdy ja sam szabrowałem gdzie indziej.

Raz zaledwie wszedłem na klatkę schodową, usłyszałem łomotanie do drzwi, oczywiście moich. Wszystkie inne, z wyjątkiem starachowiczana, były otwarte. Włamywali się Rosjanie w szpitalnych ubiorach. Zaskoczyłem ich, więc aby uniknąć konfrontacji, powitałem:

- *Zdrastwujtie towariszczii, eto maja kwartira.*

Po czym skierowałem rozmowę na przeżycia wojenne. Znałem nazwiska najślawniejszych marszałków i generałów. Wiedziałem, którymi frontami dowodzili i gdzie stoczono największe bitwy. Rzadko kiedy dochodziło do nieporozumień między pionierami a rekonwalescentami. Rosjanom nie wystarczało papierosów, podobnie jak pionierom. Gdy się spotkali z odmową, czasem słyszało się:

- *Ja za tiebia krów proliwał, a ty mnie tabaka nie dajosz.*

Raz idąc z kumplem, minęliśmy oficera nie zwracając na niego uwagi. Zatrzymał się i zawołał:

- *Ostanowities!*

- *Stanęliśmy.*

- *A wy tak poczemu nie pozdrowili?*

- *Izwinitie, towariszcz major* - odparłem. - *My tak i zagoworilis'.*

- *Nu niczego, niczego...* - machnął ręką.

Był to tylko pretekst, aby z nami porozmawiać. Opowiedział trochę o swoim życiu. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny na Ukrainie, a został majorem. Po tej krótkiej autobiografii przerzucił się na sprawy międzynarodowe.

A co wy na to? Polska, która tak dzielnie walczyła o wolność z hitlerowcami, nie została przyjęta do Narodów Zjednoczonych, a ta kurwa, faszystowska Argentyna przyjęta... Musimy być czujni!... Stalin skazał „*jeśli chcesz mira, gotówsia k wojnie*” - zakończył.

Czasem w centrum miasta widziało się rekonwalescentów. Spacerowali zwykle grupami, co najmniej po dwóch. Oficjalnie w stroju szpitalnym - zwykle w białej koszuli i takichże kałesonach. Niekiedy dla zgrywy przywdziewali części cywilnej garderoby. Głowy ozdabiali cylindrami, melonikami, czapkami studenckich korporacji, tyrolskimi kapelusikami z piórkiem; na nogach bambosze z pomponami. Podobnie jak my przeszukiwali domy. Z wysokich pięter dla rozrywki wyrzucali przedmioty zbytku: klosze, kryształowe wazony, fajansowe nocniki, które uderzając o asfalt pryskały odłamkami. Leciały krzesła, fotele i co popadło. A gdy wypchnęli z balkonu stary klawikord, jaki to dźwięk ostatni wydał on w zetknięciu z ziemią!

Z nadejściem wiosny puste miasto nabrało kolorów życia. Gałęzie pokryły się liśćmi, trawniki pozieleniały. Frontu już nie było słychać. Wkrótce Berlin padł, a Trzecia Rzesza przeszła do historii. Pojawiły się całe zespoły kobiet, które metodycznie przeczesywały dom za domem, zbierając łyżki, noże, widelce. Czasem przy pracy śpiewały chórem swe zawodzące pieśni... o kwitnących jabłoniach i gruszach, o samotnej Katuszy na brzegu rzeki spowitej mgłą, o kulach świszczących po stepie pod gwiazdzistym niebem, o smutku i tęsknocie. Słowa i melodia niosły się pustymi ulicami.

Przypomniało mi się lato spędzone na Białorusi, kobiety przy żniwach też tak śpiewały. Poczułem się zagrożony jako właściciel mieszkania i ukryłem srebro stołowe. Tu i ówdzie podjeżdżały wojskowe ciężarówki, na które ładowano meble.

Nowe grupy pionierów zaczęły zjeżdżać do Lignicy. Zrobiło się ludniej, choć jeszcze nie ciasno. Zaroilo się od cywilów, głównie Polaków i Rosjan powracających tam, skąd ich zabrano. Polacy wędrowali na własną rękę, Rosjanie grupowo.

Gdy wehrmacht cofał się, odwrót wojska poprzedzały ogromne stada krów pędzone przez żołnierzy na zachód; od Wołgi, od Dniepru, od Wisły do Reichu. Teraz Rosjanie pędzili stada w kierunku Wołgi.

Polacy nie wracali z niewoli z pustymi rękami. Wielkie platformy meblowe zaprzężone w konie sunęły ulicami Lignicy, a na nich maszyny do szycia, rowery, motocykle, pierzyny... Mercedesy, dekwaki a obok nich zwykłe chłopskie furmanki wypchane mizerną zdobyczą. Widziało się i samochody ciągnione na wschód przez konie. Maruderzy w mundurach rabowali podróżujących. Jakiś Polak jechał z dwoma kobietami, jedna z nich była jego żoną czy siostrą.

Nie tylko zabrali mu cały samochód z bagażem, ale i obydwie kobiety. Nie wiedział do kogo zwrócić się w tej sprawie.

Każdego dnia słupy dymu wznosiły się ku niebu. Coraz więcej kamienic płonęło. Nikt się tym nie przejmował - tyle ich było. Przeważała opinia, że to szabrownicy przez nieostrożność lub celowo wzniecali pożary, bądź też że to Rosjanie rekonwalescenci i cywile. Jeśli ktoś miał żyłkę podpalacza, mógł się wyżyć.

Władze zaczęły się organizować. Burmistrzem mianowano łysego czterdziestolatka, wyglądem i sposobem mówienia przypominającego Gomułkę. Wkrótce okazał się on niegodny piastowanego stanowiska. Już po moim wyjeździe z Lignicy aresztowano go za szabrownictwo na wielką skalę. Rządowymi ciężarówkami wywoził mienie niemieckie do centralnej Polski, gdzie je spieniężał.

Ja zostałem referentem Wydziału Zdrowia. Musiałem siedzieć w biurze od dziewiątej rano do dwunastej w południe. Nie mogę sobie przypomnieć, na czym moja praca polegała - prawdopodobnie na siedzeniu i dlatego nie pamiętam. Nie miałem ani przełożonych, ani podwładnych w swoim „resorcie”, co dawało mi wzmożone poczucie swobody. Nikt mi nie zaglądał do garnka.

Raz przyszło dwóch mężczyzn, chyba młodych, pomyślałem - bliźniacy. Podobni jak dwa szkielety. Okazało się, że nawet nie spokrewnieni. Już półtora miesiąca minęło od czasu, gdy Rosjanie uwolnili ich z obozu koncentracyjnego. Opuścili spodnie, aby mi pokazać co z nich pozostało. Nogi jak patyczki, a pośrodku każdej kolano jak bilardowa kula. Udo grubości mojego przedramienia. Trudno było sobie wyobrazić jak naprawdę wyglądali „za życia”. Czy ich rodzice poznają? Chyba po głosie. Zamiast rysów twarzy mieli zarysy czaszki. Trupy - to dla mnie była nie pierwszyna. Napatrzyłem się ich dosyć, ale tylko leżących. Musiałem się nachodzić od referenta do referenta, aby „szkieletom” załatwić jedzenie i wyjazd do Polski centralnej.

Po domach walało się sporo mundurów. Znalazłem szarobłękitną kurtkę Luftwaffe, taką samą jaką nosiłem na Starówce pod panterką. Odprułem wojskowe odznaki i przyszyłem do rękawa czerwony krzyż na tle białego krążka. Zastanawiające, że ubrań cywilnych brakowało. Prawie wszystkie mieszkania były otwarte, choć tylko nieliczne nosiły ślady włamania. Czyżby dowództwo poleciło mieszkańcom nie zamykać drzwi? Pamiętam jak nam to utrudniło obronę, gdy w czasie odwrotu z Woli ludność

pozamykała bramy.

Administracja rozrastała się, w miarę jak coraz nowe fale pionierów i nie pionierów dobijały do Lignicy. Przyjeżdżali ludzie z uniwersyteckim wykształceniem lub z uniwersyteckimi dyplomami. Obrodziło zwłaszcza magistrami. Moje dwa lata medycyny coraz mniejsze sprawiały wrażenie. Pensji nie wypłacano i doszło do konfrontacji pomiędzy łysawym burmistrzem a grupą pracowników. Wygrał burmistrz, sypiąc obietnicami oraz wytykając malkontentom brak zaufania, materializm niegodny pionierów i coś jeszcze... Przybywało kobiet. Coraz więcej par się kojarzyło. Do aktualnych tematów jedzenia, skarbów i szmuglu dołączył się temat chorób wenerycznych.

Szukano szoferów znających rosyjski. Zwrócili się do mnie. Gdybym choć raz w życiu prowadził samochód, podjąłbym ryzyko. Szofer ciężarówki ze znajomością rosyjskiego równał się wówczas wojewodzie. Niestety, przygotowując nas do życia, uczono tylko jak obchodzić się z karabinem.

Zostałem mianowany przedstawicielem miejscowych władz do przejmowania niektórych obiektów od wojska. Towarzyszył mi rodak nie mówiący po rosyjsku. Jeździliśmy z jakimś lejtnantem od budynku do budynku. Zakończyliśmy w miejscowym dowództwie. Lejtnant, który dotychczas mówił normalnie, w obecności majora tak się zaczął jękać, że aż pot na mnie wystąpił.

Pewnego poranka warkot wysoko latających samolotów zmałpiał ciszę. Niektórzy nawet rozpoznawali amerykańskie. Przyszło mi na myśl, że rozpoczął się konflikt pomiędzy zwycięzcami.

Zaroilo się od cudzoziemców. Poznałem lekarza Francuza i jego żonę, ludzi już niemłodych. Był on, jak mówił, zaprzyjaźniony z moją nauczycielką z Liceum Francuskiego w Warszawie. Miły i uczynny ofiarował mi płaszcz. Odmówiłem przyjęcia podarunku, podejrzewając go o homoseksualizm. Kilka lat później odbył się proces o szpiegostwo na rzecz francuskiego wywiadu. Wśród oskarżonych wymieniono lekarza o tym samym nazwisku.

Jedną z pierwszych czynności nowej administracji było nadawanie miastu polskiego charakteru. Mój dom znalazł się na placu Marksa i Engelsa, stołówka przy alei Stalina. Coraz mniej mi się podobało. Na zebraniach pracowników nie zgłaszałem się więcej jako sympatyk czy kandydat na członka partii. Dojrzewała we mnie decyzja przebicia się do strefy amerykańskiej. Nadarzyła się okazja. Transport Francuzów zatrzymał się w Lignicy po drodze na Zachód.

Wmieszałem się pomiędzy nich, podnosząc w rozmowie walory armii radzieckiej. Biorąc mnie chyba za Polaka z Francji, zapraszali żebym jechał razem z nimi. Dokumentów i żadnych wiz nie wymagano. Nowych granic jeszcze nie było, a dawne nie obowiązywały. Milionowe rzesze byłych jeńców, więźniów, niewolników płynęły w różnych kierunkach. Francuzi wsiadali do wielkich ciężarówek. Ryzyko wydawało się niewielkie... Odwlekałem decyzję myśląc - pojedę do Warszawy po Edka i pryśniemy razem. Wahałem się za długo. Podniesiono klapy, motory zawarczały i ruszyli. Za dzień, za dwa będą we Francji. Paryż... plac Inwalidów, grób Napoleona, Łuk Triumfalny... Marengo, Wagram, Austerlitz, plac Zgody, gdzie kiedyś stała gilotyna... Marie Antoinette, Danton, Robespierre, Saint Just, Marat... Charlotte Corday. La rue St. Honore... tędy pomykali karocami Cagliostro, hrabia Monte Christo, Matylda de la Mole, Julian Sorel.

Rano zamiast do pracy, poszedłem na dworzec kolejowy z plecakiem tylko i małą walizką. Czótenka włożyłem do kieszeni. Poza tym niewiele miałem ponemieckiego mienia. Kapelusik o okrojonym rondzie ze sztucznego tworzywa w kolorze trocinobetonu oraz w podobnym kolorze przykrótki lekki płaszcz, była własność niskiego grubasa. Mówiono, że na dawnej granicy polskiej wojsko konfiskuje szaber. Po dłuższej podróży z przerwami i przesiadkami, dojechałem do dworca towarowego w Warszawie. Pociąg dalej nie szedł. Po trzygodzinnym marszu ruinami dotarłem na daleki Czerniaków. Sadyba, gdzie mieszkał Edek z matką i ojczymem, stosunkowo niewiele doznała zniszczeń w porównaniu z resztą lewobrzeżnej Warszawy. Wiele willi miało szczyrby po pociskach. Leje po bombach i zgliszcza, od których wciąż powiewał delikatny śwąd spalenizny, świadczyły o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy, podobnie jak rzędy świeżych grobów poległych i rozstrzelanych. Dawni mieszkańcy, oczywiście mocno przeredzeni, wrócili i Sadyba stała się „oazą” tętniącą życiem u skraju morza ruin. Edek zgodził się od razu na wspólną ucieczkę na Zachód. Sam nawet o tym zamyślał, ale mu się nie spieszyło, jakby czas nie pracował przeciwko nam. Miał różne „interesy” do załatwienia, których cel nie był dla mnie oczywisty. Odwiedzał jakichś znajomych, nieraz tajemniczych. Zwykle towarzyszyłem mu. Robiliśmy wypadki do miasta, obchodząc pobojuwiska na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie. Pieniądzy brakowało, nie było za co kupić jedzenia. Czótenek do maszyn do szycia nie udało się sprzedać, nawet za byle co, Praga była nimi

zarzucona. Edek znalazł pracę dla nas obu. Zawarliśmy słowny kontrakt na rozbiórkę ruiny na Sadybie przy ulicy Podhalańskiej. Potrzebne były cegły na budowę domu. Właściciel początkowo sprzeciwiał się rozwalaniu murów przez wysadzanie. Obawiał się, że w pobliskich domach wylecą szyby. Uległ jednak elokwencji Edka, tym łatwiej, że w oknach szyb i tak prawie nie było. Po wykuciu dziury w murze i założeniu kostki trotylu z detonatorem, lont został podpalony, ale do wybuchu nie doszło. Tylko nieco lepiej poszło nam w rybołówstwie. Edek wrzucił granat do jeziora - zabalgotano i kilka płotek wyplłynęło brzuchami do góry. Ta forma łowienia ryb była tak rozpowszechniona, że wydajność spadła niemal do zera. Z wyżywieniem było trudno. Matce Edka nie przelewało się. W gruzach Śródmieścia znajdował się sklepik spożywczy prowadzony przez „Ciocię Parasol”. Tak zwano tę panią, która dożywiła niedobitków od Radosława... Już nie pamiętam jak nas Edek przedstawił. Całej prawdy nie powiedział. W każdym razie więcej niż raz dostaliśmy coś do przegryzienia. W tym czasie chleb z plastrem słoniny był podstawową kanapką, a posmarowany smalcem i przyprószony solą należał już do przysmaków.

Raz ciepły czerwcowy wieczór zastał nas jeszcze na Pradze w okolicy Dworca Wileńskiego. Od Sadyby dzieliło dobre dwie godziny marszu, nie licząc czasu na przeprawę łodzią z Saskiej Kępy na Solec. Pieniędzy nie mieliśmy, a głód nam doskwierał. Edek znał adres meliny konspiratorów z Armii Krajowej, wówczas już rozwiązanej. Z jego inicjatywy ułożyliśmy następujący scenariusz: miałem udawać angielskiego zrzutka spadochronowego, a Edek mojego tłumacza. Albo zagrałem moją rolę znakomicie, albo konspiratorzy byli do luftu. Edek wiedział, że żaden z nich nie znał angielskiego poza paroma słowami, choć byli wielkimi anglofilami. Edek wyjaśnił im, że rozumiem nieco po francusku, więc zwracali się do mnie w tym języku. Ja odpowiadałem po angielsku Edkowi, a on tłumaczył na polski. Bardzo byłem powściągliwy w słowach, jak przystało na Anglika i do tego zrzutka, agenta wywiadu. Edek wyjaśnił dlaczego jestem nędznie ubrany - aby się nie wyróżniać pośród tłumu. Przy mdłym świetle naftowej lampy udało mi się zachować kamienną twarz. Nie otwierałem też ust zbyt szeroko, bo Anglicy mają cedzić słowa przez zęby. Edek dał do zrozumienia, że zrzutek nie jadł od dawna. Konspiratorzy żywo zakrzętnęli się i na stole pojawiła się dymiąca jajecznicza dla nas obu. Kilkanaście dni później, jeden z nich, rudowłosy, zobaczył mnie czytającego plakat i

wszystko się wydało.

Często włóczyliśmy się po Warszawie bez wyraźnego celu, jakby nie mogąc pożegnać się na zawsze z tym cmentarzyskiem i ludzi, i nadziei, przeszłości i przyszłości. Raz, z pustej plaży na praskim brzegu przyglądaliśmy się ruinom przyczółka po drugiej stronie rzeki. Jaki mały.

Linia poharatanych wypalonych ruin wzdłuż Solca. Tam przez kilka dni broniły się niedobitki powstańców i berlingowców. Z Wilanowskiej nr 1 pozostał tylko kikut domu, bez dachu, bez pięter. Oprócz jedynki stał dom nr 5, mniej zniszczony i przez to wyższy. Tam spędziłem ostatni dzień powstania myśląc, że to ostatni dzień mego życia. A oto brama Solec 53. Stąd o świcie wyszedłem wymachując białym ręcznikiem.

Podczas gdy zgliszcza Warszawy zarastały chwastami, Praga kipiała życiem. Rozkwitał handel uliczny. Pod otwartym niebem można się było, jeśli nie ubrać, to nieźle najeść. Na Targowej tłum nakrapiany mundurami wypełniał chodniki, deptał po trawnikach i przelewał się na jezdnię, którą sunęły wojskowe pojazdy. Kilka razy byłem świadkiem takiej sceny: rozlega się strzał, w odpowiedzi na to idący ulicą żołnierze wyciągają rewolwery i strzelają w niebo na wiwat.

Mijały dni, zaczęły mijać tygodnie. Mój plan przebijania się przez Dolny Śląsk nie zainteresował Edka. Ja też nie nalegałem. Edek dowiedział się od „naocznych świadków”, jak łatwo jest przedostać się na Zachód przez Czechy. Pociągi kursują normalnie, przechodzi się kontrolę pokazując „bilet tramwajowy”. Poznał dwóch Słowaków. Jeden, nazwiskiem Chalupiec, twierdził, że był bratem gwiazdy filmowej, Poli Negri. Drugi, Stanko, dowódca plutonu Słowaków na Czerniakowie. Obaj wybierali się z wizytą do swej górskiej ojczyzny. Mieliśmy dostać przez nich lipne papiery. Jak poprzednio Edek grzebał się, tak teraz zaczął się spieszyć. Skutek był taki, że on dostał dokument słowacki z własną fotografią, a ja bez, ponieważ już nie było czasu na zrobienie zdjęcia. Mój „dowód osobisty” opiewał na nazwisko Jan Matusz, urodzony w listopadzie 1919 roku w Sveti Mikolas, co mnie postarzało o pięć lat.

Podróż rozpoczęła się upalnym popołudniem na początku lipca z dworca towarowego, z zapasem konserw i chleba. Powstańca Stanko odprowadzali jego żona i przyjaciel. Wydawało mi się, że przyjaciel, był również przyjacielem żony. Stanko, gruźlik o ziemistej cerze i zapadniętych policzkach, wyglądał na poważnie chorego.

Czyżby jechał na Słowację, aby tam, wśród gór, dokończyć życia, a żonę przekazywał przyjacielowi? Tłum wypełniał poczekalnię. Bilety były wyprzedane, nawet peronówki. Słowacy zaopatrzyli się w bilety wcześniej. Z ich pomocą i za łapówką wpuszczono nas obu na peron. Wepchnęliśmy się do zatłoczonego wagonu. Konduktor też dostał w łapę. W nocy pojawił się kontroler. I on dostał w łapę, ale już od konduktora. W sumie kosztowało to nieco mniej niż bilety. Gdy pociąg wjeżdżał do Katowic, wczesny ranek zastał nas w pozycji stojącej. Poszliśmy do fryzjera ogolić się, aby wyglądać na podróżnych, a nie na uciekinierów.

Kręcąc się po placu przed dworcem, spotkaliśmy Lulę, znajomą Edka, pannę w naszym wieku. Także pryskała, na angielskich papierach. Dołączyła do nas. Stanko i Chalupiec powtórzyli swą propozycję abyśmy razem z nimi jechali na Słowację, tam wypoczęli, rozejrzeli się i zaopatrzyli w lepsze dokumenty przed dalszym etapem podróży. W Warszawie nie opracowaliśmy szczegółów, a w zatłoczonym pociągu nie można było o tym mówić. Istniały dwa warianty: pierwszy - pojechać do Zakopanego jako turyści i Tatrami przejść granicę. Oczywiście nasi towarzysze nie mieli powodu przemykać się górami. Pojechaliby legalnie pociągiem, a Edek i ja znalazłszy się w Słowacji, musielibyśmy wędrować sami aż do umówionego miejsca spotkania. Istniał też podwariant pierwszego wariantu - jedziemy we czwórkę do Krakowa, a stamtąd koleją do samej granicy, gdzieś na wschód od Tatr, gdzie góry są niskie. Oni przechodzą główną drogą do Słowacji, my bokiem krzakami. Planowanie tej marszruty utrudniał brak informacji o kursowaniu pociągów. W rejonie Przełęczy Dukielskiej front zatrzymał się na kilka miesięcy, a teren mógł być wciąż zaminowany. Drugi wariant - wysiąść z pociągu na ostatniej stacji przed granicą na linii Katowice-Moravska Ostrava, rozejrzeć się za dnia, obejść posterunki (jeśli w ogóle są) nocą. Tymczasem Słowacy przekroczą granicę legalnie, pieszo i czekają na nas po tamtej stronie. Teoria o „biletie tramwajowym” przemawiała przeciw karkołomnej wyprawie górami. Nawet gdyby pierwszy wariant został zaakceptowany i tak trzeba by jechać przez Katowice, ponieważ tory linii Warszawa-Kraków były zerwane w wielu miejscach. Naradzając się w parku na ławce odczuwaliśmy już siłę przyciągania niedalekiej granicy, podczas gdy wariant numer 1, via Kraków-góry przedłużał podróż do granicy o co najmniej całą dobę. Gdyby nawet opinie były równo podzielone, obecność Luli przechylała szalę na stronę drugiego wariantu.

Korzystając z wolnego czasu nauczyliśmy się słowackiego. Stanko zdaniem Chalupca zapomniał już sporo ojczystego języka. Gdy się mylił, Chalupiec mrugał do nas porozumiewawczo.

Koło południa rozpoczął się następny etap podróży. W języku wojskowym nazywa się to zajmowaniem pozycji wyjściowej do natarcia. W rzeczywistości, jak to się później okazało, było to uderzenie z marszu. Pociąg włókł się stacją za stacją, a czas wydłużał się niepomniernie. Wagon pełen był cudzoziemców, głównie Czechów, Słowaków, Jugosłowian, Węgrów... Były to chyba Dziedzice, gdy ostatni Polacy wysiedli. Edek i ja przestaliśmy mówić, aby nie zdradzić swej narodowości. Inni pasażerowie rozmawiali, śmiali się, zapewne szczęśliwi, że wracają do swych domów, albo że w ogóle wracają. Zbliżała się ostatnia stacja przed granicą - Zebrzydowice. O ile z Katowic można było jeszcze skręcić na Kraków, teraz już praktycznie nie było odwrotu. Czułem się jak spadochroniarz po wyskoczeniu z samolotu - albo się otworzy albo nie. Gdy pociąg zaczął zwalniać, wytknęliśmy głowy przez okna, aby się zorientować w topografii przygranicznego terenu. Zamiast zwykłej grupki podróżnych, zazieleniało po obu stronach toru.

Wojskowi w polskich mundurach kazali opuścić pociąg i zabrać ze sobą bagaże. Sprawdzali pod ławkami i na półkach. Przeprowadzono nas do olbrzymiego baraku obok. Wszystkiego kilkaset osób. Było mroczno, przez zakratowane okienka wpadało niewiele dziennego światła. Robiło się duszno. Kontrola rozpoczęła się dopiero, gdy wszyscy weszli do baraku. Przez jedyne otwarte drzwi wypuszczano pojedynczo, bez pośpiechu sprawdzając dokumenty, rewidując bagaże. Ktoś twierdził, że szukają polskich książek. Barak od pociągu dzieliła tylko szerokość peronu. Pasażerowie po przejściu kontroli wchodzili wprost do wagonów. Niektórych odstawiano gdzieś na bok. Zwlekaliśmy jakiś czas - chyba na coś licząc, a także obserwując przebieg kontroli. Może w końcu zaczną się spieszyć. Już trzecia część pasażerów przeszła przez kontrolę, gdy po krótkiej naradzie po słowacku i prawie bez słów, pchnęliśmy się we czwórkę ku drzwiom. Znaleźć się na końcu może być podejrzanym. Słowacy pierwsi podali wartownikom wszystkie dokumenty. Ja szybkim ruchem położyłem walizki na ladzie. Otworzyłem je i coś rzekłem do Edka po słowacku. Stanko i Chalupiec też coś do nas powiedzieli. Po chwili znaleźliśmy się na peronie. Pod ścianą baraku stało kilku zatrzymanych. Lula też przeszła przez kontrolę. Razem wróciliśmy do pociągu. Wojskowi co

raz to wchodzili do wagonu, który nie miał oddzielnych przedziałów, coś myszkując, nadśłuchując. Odetchnąłem z ulgą, gdy parowóz zagwizdał, zasyczał, szarpnął i ruszył. Pociąg zaczął zwalniać nim się dobrze rozpędził. Zerknąłem przez okno. Na tablicy czarny napis PETROVICE.

Udało się! Czechosłowacja!

Ukazały się perony i długie linie żołnierzy z karabinami. Pociąg stał już dobre kilka minut i na razie nikt pasażerów nie wyganiał. Nie pozwalano wychodzić na peron. Końce wagonów były otwarte, tak że wewnątrz widać było na przestrzał, od parowozu do końca pociągu, jak w prostym korytarzu. Cała moja uwaga koncentrowała się na peronie i dlatego nie od razu zauważyłem, że kilku mundurowych weszło do ostatniego wagonu. Z wolna posuwając się w naszym kierunku, a znajdowaliśmy się mniej więcej w środku pociągu, sprawdzali bagaże i dokumenty. Znowu widmo jazdy na wschód w kajdanach zawisło nad nami. Można było tylko zyskać na czasie, cofając się w kierunku parowozu. Tym razem nie było nadziei na ocalenie przy pomocy fałszywych dokumentów. Wystarczyło, że się do nas odezwali po czesku. Po drodze nauczyłem się kilkunastu zdań po słowacku, ale tym można było zamydlić oczy tylko Polakom nie znającym języka. Inni podróżni nie wydawali się być przejęci kontrolą. Głośno rozmawiali w wielu językach, z wyjątkiem polskiego i niemieckiego. Wyjęli zapasy, jedli, pociągali z butelek, grali w karty. Przysłowiowe tysiące myśli przebiegało przez głowę, co robić... Trudno było oderwać oczy od kontroli, która w żółtym tempie zbliżała się, zapewne sprawdzając dokładniej od polskiej. Przyległy wagon zarezerwowany był dla rosyjskich żołnierzy-rekonwalescentów i cywilów. Zauważyłem, że zaczęli oni wychodzić na peron. Pociągnąłem Edka za rękaw wskazując oczyma.

- *Wychadim* - rzekłem półgłosem.

Przeszedłszy niespiesznym krokiem do wagonu obok, razem z pozostałymi Rosjanami zeszliśmy na peron. Nie wiedziałem, co nastąpi, ale wszystko wydawało się lepsze od pozostawania w pociągu. Wkrótce całą grupę skierowano na pobliski plac pomiędzy dwoma stacyjnymi budynkami. Nie wyróżnialiśmy się od reszty ubranej po szpitalnemu lub po cywilnemu. Tylko nieliczni byli w mundurach. Za chwilę zbliżyli się dwaj dziwacznie wyglądający mężczyźni w wyszarganych niemieckich uniformach. Twarze, ręce mieli pomalowane w jaskrawe kolory. Jeden policzek zielony, drugi żółty, czoło niebieskie, uszy czerwone a nos jeszcze w innym

kolorze. Obaj trzymali w rękach niby instrumenty muzyczne, sklecone na podobieństwo gitar czy mandolin z patelni, nocnika czy garnka, drażka i drutów. Zaczęło się przedstawienie. Obaj błaznowali, imitując dźwięki swych instrumentów, śpiewając po niemiecku miękkim akcentem, do którego nie byłem przyzwyczajony, może wiedeńskim. Tłum zaśmiewał się, my obaj też. Staliśmy obok siebie udając, że się nie znamy. Coraz to zerkałem do tyłu na pociąg. Przez okna wewnątrz widać było wojskowych, posuwali się wolno ku lokomotywie. Jeśli nasza grupa wróci do wagonu zbyt wcześnie, to i tak nie unikniemy kontroli - myślałem. Zbyt długie przebywanie pośród Rosjan w wagonie groziło identyfikacją. Przedstawienie dobiegło końca. Podniosły się głosy wołające o bis. Razem z Edkiem dołączyliśmy się wołając: „dawaj jeszcze”.

Pierwszy raz zobaczyłem „Hamleta” mając lat czternaście. Utkwiła mi w pamięci scena, gdy grupa aktorów w dziwacznych strojach odgrywa przed królem śmierć Gonzagi, a jeden tylko Hamlet wie, o jaką stawkę idzie. Ta scena jakoś skojarzyła mi się później z błaznowaniem jeńców w obszarpanych mundurach, gdy nasz los się decydował i wynik zależał od ich gry. My ratowaliśmy się, udając rozbawionych widzów, kłowni być może ratowali się przed zsyłką do kopalni złota.

Bis trwał dość długo. Wystarczająco długo, by kontrola dobiegła końca. Rozległy się wołania: *Prosim nastupovat!*

Na rozkaz cała grupa pospieszyła do wagonu.

Dołączyliśmy do Słowaków i Luli; już myśleli żeśmy obaj wpadli. Pociąg sapiąc ruszył i w miarę jak się rozpędzał, coraz szybciej przemykały za oknami sylwetki żołnierzy.

Moravska Ostrava. Pierwszy raz za granicą. Poczucie radości życia nie do opisania. No i wiara podparta wydarzeniami z powstania, że z najgorszych tarapatów wyjść mi się udaje bez szwanku.

W ogromnej sali dworcowej tłum pasażerów, kręcą się, stoją w miejscu. Dziwny półrozumiały język dookoła. Echo niesie głos z megafonu: *Rychlik do Bratislavy odjíždi z třetiho, nastupistě za dvě minuti.*

Stanęliśmy w kąciku, żeby się naradzić. Stanko i Chalupec powtórzyli swoją propozycję, zapraszając Edka i mnie na Słowację. Lula z angielskimi, chyba fałszywymi papierami, nie miała powodu zawracać na wschód. Edkowi spieszyło się, jakby mu się ziemia paliła pod nogami, choć się nie paliła, i odrzucił zaproszenie. Jeszcze w Warszawie uzgodniliśmy, że najlepiej będzie po przebicciu się przez

granicę odsapnąć na Słowacji, „przegrupować się przed następną ofensywą na Zachód”. Najwidoczniej obecność Luli sprawiła, że mu się odmieniło.

Zabrakło mi odwagi, aby odłączyć się od Edka, któremu prawie tak jak mnie dotąd wszystko się udawało. Zdołał się wepchnąć na łódź, z przyczółka czerniakowskiego na Saską Kępę, gdy setki daremnie czekały pod obstrzałem. Udając wariata w więzieniu na zamku w Lublinie wykręcił się od kuli. Miał niezwykle zdolności mimikry, kameleon z tupetem. Trudno mi było się z nim rozstać, tyle już razem przeszliśmy. Liczyłem na jego spryt, rozmach i moje szczęście.

Słowacy wyświadczyli nam ostatnią przysługę. Kupili trzy bilety do Pragi. Przy kasie mogli zażądać okazania dokumentów. Pociąg do Bańskiej Bystrzycy odchodził wcześniej. Zostaliśmy sami na dworcu, bez znajomości języka i z fałszywymi papierami. Żegnając się, nie wzięliśmy nawet ich adresu na Słowacji.

Udało nam się zająć miejsca siedzące w tym samym przedziale pociągu pośpiesznego, tu zwanego rychlikiem. Doświadczenie nabyte w kraju przy szturmowaniu wagonów przydało się. Ja usadowiłem się przy drzwiach na korytarz, Lula naprzeciw mnie. Edek drugi od okna, oddzielony od Luli jedną osobą. Wkrótce zatłoczyło się, pasażerowie wypełnili korytarz. Z góry zdecydowaliśmy, że po polsku nikt się nie odzywa, nie zdradzamy swej narodowości i w zasadzie nie znamy się. Nie było to łatwe w wykonaniu. Cisza trwała krótko. Wywiązały się rozmowy i nie można było udawać głuchoniemych. Edek, chcąc nie chcąc, musiał wdać się w konwersację z sąsiadem. Przedstawił się jako Słowak wychowany w Polsce. W ciągu tych paru godzin podłapał już sporo języka, zręcznie przekręcał polskie słowa na słowackie czy czeskie. Zwłaszcza akcent wychodził mu dobrze. Zdecydowałem, że znam Lulę i odezwałem się do niej po angielsku. Odtąd z rzadka wymienialiśmy bardzo krótkie zdania. Z góry umówiłem się z nią, że jeśli rozmawiamy, to tylko w tym języku. Pasażerowie zapewne wydedukowali, że jesteśmy Anglikami, bo nas po czesku nie zagadywali. Czasem tylko wymienialiśmy uśmiechy, moje powściągliwe, jak przystało na syna dumnego Albionu. Lula znała angielski lepiej ode mnie. Korzystając z wolnego czasu na dworcu w Morawskiej Ostrawie, dla przyszłego użytku, wycyzelowałem kilka zdań angielskich, aby się nie zająknąć w razie czego.

Lula wyciągnąwszy papierosa zwróciła się do mnie: - *Would*

you mind to give me a light?

Na co ja odrzekłem: *Of course, I have matches*, czy coś w tym rodzaju, coś krótkiego, i sięgnąłem do kieszeni po zapalniczki. Jeden z pasażerów uprzedził mnie, posługując się zapalniczką. Wymieniliśmy uśmiechy, we trójkę.

Ciemność musiała zapaść wkrótce po wyjeździe z Ostravy. Była to już druga nieprzespana noc. Przyszło odprężenie. Wciśnięty w kąć przymykałem oczy, usiłując się zdrzemnąć i udając, że drzemię. Każdy stuk kół oddalał mnie od przeszłości i zbliżał do przyszłości. Coraz dalej od ojczyzny, tej z orłem bez korony i tej z orłem w koronie. Szczęknęła klamka. Otworzyłem oczy. W korytarzu obok, kilku w mundurach sprawdzało dokumenty. Jeden z nich odsunął drzwi, zasalutował:

- Připravte si občanske průkazy ke kontrole!

Wpierw zwrócił się do Luli siedzącej naprzeciw mnie. Chwila napięcia i zwrócił jej dokument.

Kolejno siedzący podawali swoje papiery... Czech... Edek... Czech..., obchodził przedział ruchem przeciwnym wskazówce zegara. Gdy tylko żołnierz, bez słowa, z lekkim skinieniem głowy oddał Edkowi dokument, nagle poczułem jakby pomiędzy nim i Lula a mną, rozwarła się przepaść - tak nisko oceniałem własne szansę.

Odezwałem się do Luli, jak tylko zwrócili jej dokument. Wymieniliśmy półgłosem kilka krótkich zdań po angielsku, wystarczająco jednak długich i głośnych, aby nie uszło to uwagi żołnierzy. Chwyciłem się jej jak tonący brzytwy. Trzymając w ręku portfel zastanawiałem się co wyjąć, fałszywy słowacki, czy kenkartę niemiecką z wyciętym orłem. I jak się tłumaczyć po zatrzymaniu. Orła ze swastyką w kenkarcie wycinano w Polsce przy wymianie pieniędzy niemieckich, tzw. młynarek, na nowe, aby nikt nie wymienił więcej niż raz - dostawało się pięćset nowych złotych. Ze słowackim dokumentem jako Jan Matusz, podpadałem od razu, z kenkartą chyba też. Niewiele sekund pozostawało do namysłu. Co gorzej, wpaść z fałszywym dokumentem czy z nieważnym?

Wyjąłem z portfela kenkartę. Żołnierz nawet po nią nie sięgnął, spojrzał na mnie, zasalutował i cofnął się na korytarz zasuwając drzwi. Odtąd już nie zamknąłem oczu aż do samej Pragi.

„Rychlik” nie spieszył się, coraz to przystawał i była północ, gdy podróż dobiegła końca. Od razu na peronie przystąpiliśmy do narady, po polsku z zachowaniem ostrożności, i przez to krótkiej i niekompletnej.

Trzeba było się wywiedzieć o linię demarkacyjną pomiędzy Amerykanami a Rosjanami. Kupić bilety nie wzbudzając podejrzeń. Wysiąść jedną stacją przed linią demarkacyjną, iść nocą w pewnym oddaleniu, ale równoległe do torów w kierunku Pilzna, posługując się kompasem (który należało nabyć), bo na bezchmurne niebo z gwiazdą polarną, pomimo ładnej dotąd pogody, liczyć nie należało.

Edkowi przyszło do głowy, aby pod jakimś pretekstem wejść do jedyne go czynnego biura na opustoszałym dworcu, czynnego - jak można było sądzić po zapalonych światłach. Na próżno odradzałem mu ten ryzykowny krok. Za dnia od podróżnych, przy kasie, gdy dworzec będzie wypełniony tłumem, można będzie uzyskać odpowiednie informacje. Za dnia pójdziemy do któregoś z zachodnich przedstawicielstw celem zasięgnięcia języka. Edek zdecydował iść z Lula, mieli wejść jednak osobno, ona pierwsza, jakoby nie znając się. Ustaliliśmy miejsce spotkania.

Dworzec był mroczny, ciemno w oknach poza jednym pomieszczeniem. Nieliczne latarnie rzucały kręgi siniego światła, zaciemnienie z czasu wojny. Czekałem w umówionym punkcie pięć, dziesięć minut. Dłużej stać bez ruchu było niebezpiecznie. Od czasu do czasu ktoś przechodził i nieruchoma sylwetka musiała zwracać uwagę, jeśli nie wzbudzać podejrzeń. Ruszyłem więc „w drogę”. Podziemnymi pasażami, po kamiennych schodach, w górę, w dół, z peronu na peron, nie za wolno, bo i to mogło zwrócić uwagę. Ryzykując, że się rozminie, jeśli oni wyjdą z biura, gdy będę z dala i już się nie spotkamy. Mój lęk o siebie i o nich wzrastał się z każdą minutą. Coraz to miałem przed oczyma wielki zegar. Starłem się coś wypatrzeć przez okna pomieszczenia, do którego weszli. Szkło było nieprzezroczyste i odróżnić mogłem tylko zamazane sylwetki nie wiadomo czyje, czasem cień rzucający się na szybę. Liczyłem je. Bałem się podejść do okna i podsłuchiwać. Zresztą słuch mi nie dopisywał. Potem sylwetki zniknęły. Gdyby ich aresztowano i wyprowadzono, musiałbym to zauważyć - jakiś ruch, głosy, zgrzyt podkutych butów.

Próbowałem układać plany, co robić dalej, jeśli zostanę sam. Już kilka razy postanowiłem uznać ich za „zaginionych w akcji”, wyjść na zewnątrz i w bezpiecznej odległości, gdzieś na ulicy, zająć punkt obserwacyjny. Żaden pociąg nie przybył. Wymarły dworzec sprawiał niesamowite wrażenie, bez syku pary, bez stukotu kół, bez ludzkich głosów, w mroku ledwie rozjaśnionym tu i ówdzie sinym światłem. Słyszałem tylko odgłos własnych kroków, przytłumiony na peronach,

odbijający się wielokrotnym echem w podziemnych korytarzach. Minęły trzy kwadransy, gdy ukazał się Edek. Podążyłem za nim w pewnej odległości.

- Gdzie Lula - spytałem, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

- Zatrzymana.

Więcej nie chciał mówić. Mnie też zbytnio to nie interesowało, trzeba było zająć się własnymi problemami. Pociąg do Pilzna odchodził rano. Uzgodniliśmy, że w razie zgubienia spotykamy się w tym samym miejscu, gdzie rozmawialiśmy ostatni raz.

Należało gdzieś spędzić resztę nocy. Do dworca przylegał mały park. Musiał tam też znajdować się podziemny schron, z ziemi bowiem wystawały kominy wentylacyjne. Noc była ciepła i sądząc po obfitości gwiazd, nie zanosilo się na deszcz. Ciemną wyspę parku otaczało mroczne, pogrążone we śnie miasto. Uszy razila cisza po kilkudziesięciu godzinach spędzonych w tłoku, w gwarze, pośród stukotu kół i gwizdu lokomotyw. Choć był to tylko park, miałem poczucie bezpieczeństwa, jakbym znajdował się na bezludnej wyspie. Wrażenia minionych dwóch dni mieszały się z myślami o oczekującym nas ostatnim etapie ucieczki. Podniecenie górowało nad zmęczeniem. Nasza samotność nie trwała długo. Z dala dobiegły głosy. W miarę jak się powoli zbliżały, uspokoił się, że to nie oblawa, ale raczej jakaś rozbawiona grupa. W ostatniej chwili przerzuciliśmy się na rosyjski. Wydawało nam się, że Czesi pomimo wielkiej admiracji dla Związku Radzieckiego, unikają bliższego kontaktu z osobami mówiącymi po rosyjsku, zwłaszcza nocą. Przyplątała się gromada chłopaków, nastolatków. Wywiązała się rozmowa w łamanych językach. Podaliśmy się za kogoś, kim nie byliśmy. Poczęstowali nas marchwią, której mieli w bród. Wkrótce coś innego przyciągnęło ich uwagę, przestali się nami interesować i zniknęli w ciemności. Jeszcze długo słyhać było ich oddalające się głosy. Marchew przydała się. Jedzenie wzięte z Warszawy kończyło się. Pozostała jedna napoczęta puszka konserw, opróżniliśmy ją prawie do dna. Resztę zapasów Lula miała przy sobie i przepadły razem z nią.

Świt zastał nas w parku. Wróciliśmy na dworzec na godzinę przed odjazdem pociągu. Bilety udało się kupić bez żadnych trudności. W ogonku do kasy stanął Edek jako obrotniejszy i z lepszym akcentem. Nasz plan przewidywał wysiadanie na ostatniej stacji przed linią demarkacyjną. Nadal nie wiedzieliśmy, którądy ona przebiega. Przemykać się polami na drugą stronę należało po

ciemku. Wyjazd wczesnym rankiem mijał się z celem. Mogliśmy podpaść, kręcąc się w jakiejś małej mieścinie przez cały dzień, czy też kryjąc się w życie do nadejścia nocy. Wszystko podczas tej wyprawy szło na wariata, bez planu, a raczej z planami porzucanymi w ostatniej chwili. Niemniej udawało się. Nie miałem więc obiekcji, choć i ten ostatni etap w swym wariactwie nie różnił się od poprzednich. Nie zdając sobie z tego sprawy, za każdym obrotem koła fortuny wszystko stawialiśmy na jedną kartę. Wpadka Luli powinna być ostrzeżeniem. Znany był los aresztowanych przy próbie ucieczki z imperium Stalina. Tymczasem pociąg zidentyfikowany na rozkładzie jazdy jako „rychlik”, bez pośpiechu, zatrzymując się na każdej stacji, niósł nas ku naszemu przeznaczeniu. Bezchmurny dzień, błękitne niebo, słońce wschodzące za plecami ścigało nas, zbliżało się. Nie wiedzieliśmy ani jaka jest kolejność stacji, ani gdzie linia demarkacyjna przecina linię kolejową. Na dworcu na wielkiej tablicy wisiał wprawdzie rozkład jazdy pociągów, ale mapy nie było, albo uszła naszej uwagi. Nawet gdybyśmy wiedzieli, nie jest pewne, czy to by zmieniło cokolwiek - taka już była siła bezwładu, który pchał nas naprzód. Albo pociąg włókł się (może dlatego nazywają go po czesku „włak”), albo czas wydłużał, jakby minuty rozciągały się do kwadransów. Słońce było już bliżej zenitu niż horyzontu, gdy pociąg zaczął zwalniać. Wśród torów ciągnęły się szpalery żołnierzy.

Rokiczany.

Zaledwie pociąg stanął, Edek poderwał się do wyjścia. Ruszyłem za nim. Cofnąłem się krok czy dwa, aby wziąć nasz plecak z półki. Przez to odległość między nami wydłużyła się do kilku metrów. Edek zeskoczył na niski nasyp po stronie przeciwnej stacji, gdzie nie było peronu. Ja za nim. W momencie gdy dotykałem stopą żwiru, czeski żołnierz stojący przede mną już obracał się. Najwidoczniej usłyszał kroki Edka. Edek zniknął, chyba dał nura pod wagon. Żołnierz poprowadził mnie przez pusty peron, na którym stali tylko inni w mundurach, w kierunku budynku stacyjnego. Idąc rozglądałem się za Edkiem. Moja podróż z dworca towarowego w Warszawie dobiegła końca w niewielkim pomieszczeniu bez mebli, poza jedną ławką i małym niezakratowanym oknem, przez które widać było tory i pociąg.

Nie było tam nikogo poza kilkoma wojskowymi. Jeden z nich, oficer niższej rangi w radzieckim mundurze, pozostali Amerykanie w jasnozielonych mundurach, wyglądali bardziej po sportowemu niż po

wojskowemu.

Odczułem ulgę, że Czesi nie wydali mnie w ręce NKWD...

Gdy tylko Rosjanin wyszedł, zwróciłem się do Amerykanów wyjaśniając szkolną angielszczyznę, że uciekam z Polski, bo groziło mi aresztowanie. Miałem wrażenie, że mnie zrozumieli. Spytałem też, czy któryś z nich mówi po polsku.

- Był taki - odparł jeden - wczoraj wyjechał.

Z pociągu doprowadzono innych połapańców i wkrótce zgromadziło się nas około dziesięciu osób.

Drzwi izby zatrzymań wychodziły na wąski korytarz przecinający w poprzek budynek stacyjny. Po stronie przeciwnej peronom, na zewnątrz budynku stała grupa ludzi zapewne czekających na pociąg. Inni połapańcy czy aresztanci, jeśli w ogóle się odzywali to tylko półgłosem w językach, których nie rozumiałem. Przetrzęsanie pociągu najwidoczniej skończyło się. Kilku w czeskich mundurach wróciło na stację. Edek wiedziałby, co robić, pomyślałem.

Powstał ruch pośród gromady ludzkiej czekającej na zewnątrz budynku. Najwidoczniej już uprzednio sprawdzono ich bilety i dokumenty. Podniesiono barierę i pasażerowie, idąc pojedynczo, wyciągniętą linią wąskim korytarzem, mijali drzwi zatrzymań, gdzie oczekiwaliśmy dalszych dyspozycji. Przysunąłem się do drzwi i wyjrzałem. Nie było strażników. Zerknąłem za siebie. Dwóch Amerykanów odwróconych tyłem rozmawiało, gapiąc się przez okno. Jeden krok i dołączyłbym do tych, którzy sznurem, niemal ocierając się o mnie, szli do pociągu.

- A jeśli mnie złapią przy próbie ucieczki, dostanę się w gorsze tarapaty - wahałem się.

Sznur idących urwał się. Już było za późno. Nowi pasażerowie wsiadali do wagonów. Pociąg, który przyjechał z Pragi ruszył, z wolna nabierając szybkości. Gdzieś przez okno Edek wygląda na stację...

W izbie zatrzymań nic się nie działo, nikt nie ubywał, nikt nie przybywał. Nie było jak wymknąć się. Wskazówki zegara ledwo się poruszały. Nie wiedziałem, czy czas pracował dla mnie, przeciw mnie, czy w ogóle nie pracował. Minęła godzina. Edek jest już w Pilźnie. Świat stoi przed nim otworem. Było o czym myśleć. Nie czułem ani głodu, ani zmęczenia, ani senności. Minęły trzy, może cztery godziny zanim następny pociąg wtoczył się na stację. Może to ten sam, wracający z Pilzna. Długo stał. W izbie zatrzymań ożywiło się. Amerykanie kazali połapańcom wziąć bagaże. Pojawili się Czesi

w mundurach i całą naszą grupę odprowadzono pod eskortą do pociągu. Nie trzeba było kupować powrotnego biletu. Przemknęło mi przez głowę - wysiądę na pierwszej stacji i nocą pójdę na Zachód. Zanim jednak pociąg ruszył, do wagonu wszedł młody mężczyzna po cywilnemu i wskazał mnie ręką. Wagon nie miał przedziałów, widać było wszystkich pasażerów, a co najmniej ich głowy. Wszyscy obrócili się ku mnie. Wciąż wskazując w moim kierunku, coś wyjaśniał. Słów nie mogłem dobrze odróżnić i nie rozumiałem, co mówił, ale usłyszałem: — *Szpieg*.

Szpieg chyba znaczy to samo po czesku, co po rosyjsku. A może się przesłyszałem. Od czasu wybuchu goliata w Arsenale, nie cały rok temu, słuch mnie nieraz zawodził.

Zaraz jakiś mundurowy ze srebrnymi kwadracikami czy trójkątami na wypustkach, mężczyzna koło trzydziestki, siadł naprzeciw mnie przy oknie. Wyglądał mi bardziej na policjanta niż wojskowego. Za plecami miałem przepierzenie do sufitu dzielące wagon na dwie połowy, a w nim drzwi z napisem WC. Pociąg ruszył. Jak w odwrotnym filmie mijały stacje, które zapamiętałem, domy, kępy drzew, wioski. Rano słońce doganiało mnie od wschodu, teraz uciekało na zachód. Powoli odzyskiwałem zdolność myślenia po szoku, że Amerykanie wydali mnie.

Czy jestem już aresztowany, czy dopiero będę?

Ludzkie doświadczenie wskazywało, że normalnym rekwizytem aresztowania są kajdanki i kraty. Byłem czy nie byłem, niewątpliwie znajdowałem się w drodze do czegoś, co się źle kończy. Nikogo spośród grupy zatrzymanych nie potraktowano tak jak mnie. A weszliśmy wszyscy do jednego wagonu. Wsiadanie na następnej czy jakiegokolwiek innej stacji nie wchodziło w rachubę. Postanowiłem nawet nie ruszać się z miejsca, aby nie pobudzić czujności mojego strażnika i zachowywać się swobodnie, naturalnie, jakbym nie był aresztantem. Pociąg, na wpół pusty w Rokiczanach, gdzie mnie zatrzymano, wypełnił się szybko. Pasażerowie wchodzili i wychodzili na każdej stacji, a było ich wiele. Zawsze siedział ktoś obok mnie i obok policjanta. Wdałem się w rozmowę z tymi przypadkowymi sąsiadami celem wywiedzenia się o ostatnią stację przed Wilsonovo Nadraži - tak się nazywał centralny dworzec, gdzie według moich przewidywań nastąpić miało formalne aresztowanie. Mówiłem, że wracam do Polski z robót przymusowych. Nie pytając się bezpośrednio o główny cel tej konwersacji, zasięgałem języka na temat muzeów, teatrów, noclegów w Pradze. Zainicjowałem

rozmowę na temat powstania w Pradze, tu i ówdzie wtykając pochlebną uwagę o armii radzieckiej, zwaną tutaj Rudą Armią. Pytałem się też o Polski Konsulat. Pewien prażanin znał jego adres. Miał on się znajdować w Hotelu Ambassador na placu czy ulicy Vaclavske Namesti... Choć wiedziałem, że Vaclavske Namesti leży w centrum miasta, spytałem na którym z praskich dworców mam wysiąść. W ten sposób dowiedziałem się, o co mi chodziło, że pierwszą stacją w Pradze jest Smichov, a potem dopiero Wilsonovo Nadraží. Każde zdanie wymawiałem z pełną świadomością, że policjant wszystko słyszy i rozumie. Moi rozmówcy bardzo byli mili, dawali mi rady, troszczyli, abym się nie zgubił.

Bukoliczny krajobraz pól uprawnych, łąk i wiosek, nad którymi unosiła się atmosfera spokoju, zacisza, nieskomplikowanego życia - przez kontrast jeszcze potęgował grozę mojego położenia.

Słońce posunęło się dalej na zachód i zniżało gdzieś nad Pilznem. W jego promieniach, już nie żółtych, ale jeszcze nie pomarańczowych i nieco przyćmionych, okolica nabrała miększego kolorytu. Zapowiedź nadchodzącego wieczoru, kiedy wszystko układa się do snu.

Mijały godziny, nie odezwałem się do policjanta ani razu, ani on do mnie. Zresztą nie był rozmowny. Nie otworzył ust, chyba że ktoś pierwszy do niego się zwrócił. Nie patrzyłem na niego, aby nasze oczy nie spotkały się. Czasem tylko gdy zwracał głowę ku oknu, miałem okazję przypatrzeć się z boku jego twarzy - twarzy obojętnej, bez wyrazu. Trudno jest unikać wzrokiem kogoś, kto godzinami siedzi naprzeciwko. I trudno spoglądać obojętnie na człowieka eskortującego ciebie ku nieznannej, ale groźnej przyszłości. Chwilami myślałem, że mi się to wszystko przywidziało - że policjant przysiadł się przypadkowo, że się przesłyszałem ze słowem „szpion”.

Obserwując pasażerów w moim półwagonie doszedłem do wniosku, że chyba wszyscy ci, którym cywil przedstawił mnie jako szpiega, już wysiedli, a ci co później wsiedli, nic o mnie nie wiedzieli.

Centralnym punktem mego planu był Smichov. Na głównym dworcu w Pradze wymknąć się nie da. Mój policjant każe mi siedzieć i przez okno zawoła innych policjantów. A ucieczka przez zbity tłum nafaszerowany mundurami nie rokowała powodzenia. Na małych stacjach na peronie znajdowało się kilkanaście osób i nie było gdzie się ukryć.

Prawie wszystkie czeskie pieniądze pozostały przy Edku. Dałem mu mój przydział przy kupnie biletów do Pilzna, a reszty mi

nie zwrócił. Za to miałem plecak, a w nim trochę ciuchów, „srebro stołowe” w postaci kilku żelaznych łyżek, widelców i noży, przyrząd do otwierania konserw oraz jedną nie dokończoną puszkę konserw. Zjedliśmy większość jej zawartości nocą w parku przed dworcem, zostawiając nieco na czarną godzinę, gdyby przyszło iść piechotą kilometrami przez pola i lasy do Pilzna.

Według moich wyliczeń następną stacją miał być Smichov. Aby się upewnić, spytałem sąsiada, czy to już Wilsonovo Nadraží. Skorygował mnie, że to dopiero Smichov.

Gdy pociąg zaczął zwalniać, zdjąłem plecak z bagażnika. Położywszy go na kolanach, grzebałem w nim bez pośpiechu. Zaledwie pociąg stanął, zacząłem dłubać widelcem w puszcze, powoli wydobywając maleńkie kawałki mięsa, żując je bez pośpiechu, tak aby mi wystarczyło aż do decydującego momentu. Rozległy się wołania kolejarzy:

- Smichov.

Wielu pasażerów wysiadło. Zaroilo się na peronie. Postój przedłużał się, a mnie już kończyło się mięso. Jeszcze bardziej zwolniłem tempo jedzenia.

Znowu wołania kolejarzy:

- *Prosim nastupovat, vlak odjizdi.*

- Gwizd i pociąg ruszył.

Wsunąłem puszkę do plecaka, wstałem. Plecak położyłem na siedzeniu, aby wyglądało, że nie chcę, aby mi je kto zajął. Obróciwszy się powoli otworzyłem drzwi z napisem WC. Wszystko to przy zachowaniu szczególnej ostrożności, aby się nie zdradzić niespokojnym ruchem lub spojrzeniem. Licząc na to, że mój strażnik weźmie to za naturalną reakcję - pojadł sobie i zakręciło go w brzuchu. Policjant ani drgnął. Pociąg już nabierał szybkości i nie sądziłem, aby przyszło mu do głowy, że mogę skakać. Drzwi otwierały się do maleńkiego przedpokoiku, z którego można było wejść albo do właściwego WC, albo, otworzywszy następne drzwi, przejść do drugiej połowy wagonu. Pasażerowie często tam zachodzili, miałem więc okazję zapoznać się z rozkładem.

Znalazłszy się w drugiej połowie wagonu, zamknąłem za sobą drzwi do przedpokoiku, szybkim krokiem doszedłem do końca wagonu i zeskoczyłem z otwartego pomostu na peron, stając jak najbliżej pociągu, aby znaleźć się poza polem widzenia mojego strażnika. Twarzą był bowiem zwrócony ku mnie, a plecami ku lokomotywie. Oddalał się więc ode mnie z każdym obrotem kół, od

momentu, gdy stopą dotknąłem ziemi. Zapewne sam nie ryzykowałby skakania w biegu, ale mógł pociągnąć za hamulec. Stałem w tej samej pozycji, o pół kroku od rozpędzającego się pociągu, może przez ćwierć minuty, po czym wmieszałem się w tłum wychodzących. Mijając kontrolę przy wyjściu z dworca, kolejarzowi wyciągajacemu rękę po bilet rzuciłem krótkie:

- *Koncentračni tabor.*

Za chwilę znalazłem się na ulicy. Wolny, choć wciąż pod strachem, że pogoń depcze mi po piętach. Obok na końcowej pętli stały tramwaje. Wsiadłem razem z tłumem pasażerów do pierwszego, aby jak najszybciej oddalić się od dworca. Dłużyły się sekundy, zanim ruszył.

Konduktor zbliżył się do mnie.

- *Mate jizdenku?*

Nie trudno było odgadnąć, o co mu chodzi.

- *Koncentračni tabor* - odparłem.

Nie musiałem kupić biletu i nie kazał mi wysiąść. Zapewne mój wygląd nie przeczył temu, co ludzie wiedzieli o hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Zapytałem się współpasażera o Vaclavske Namesti. Okazało się, że wsiadłem do złego tramwaju. Wyjaśnił mi, gdzie mam wysiąść i jak dojść do placu Waclawa. Unikałem kontaktu z kimkolwiek w mundurze, nawet w tramwajarskim. Coraz więcej rozumiałem i coraz lepiej mówiłem. Od czasu przekroczenia granicy, a zwłaszcza od Rokiczan, poduczyłem się sporo czeskiego. Podróże kształcą. Zbliżał się wieczór, gdy znalazłem się na Vaclavske Namesti.

W czasie wojny, na czwartym piętrze „mojej” kamienicy w Warszawie zamieszkał pan Szymanko. Człowiek wykształcony, około lat czterdziestu, lewicowiec i ku zmartwieniu swej rodziny praktykujący ateista. Często zachodziłem do niego na pogawędki, znał moje lewicowe poglądy. Otóż zaraz po kapitulacji Niemiec dowiedziałem się od kogoś, chyba od dozorczy naszego domu w Warszawie, że pan Szymanko ma jechać na placówkę dyplomatyczną do Pragi i że należy do PPR. Moją jedyną nadzieją było odnalezienie pana Szymanki. Inaczej wobec zbliżającej się nocy nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie mogłem chodzić ulicami aż do świtu udając normalnego przechodnia. Drzemanie w parku na ławce nie było bezpieczne. Uplłynęło zaledwie dwa miesiące od zakończenia wojny i niemieckiej okupacji, więc miasto zapewne było patrolowane przez policję i wojsko.

Wszedłem do hotelu Ambasador. W holu przyjęć wielkie lustro, kryształowy żyrandol, dywany, fotele obleczone czerwonym pluszem. Za kontuarem po lewej stał starszy mężczyzna w liberii. Spytałem się po angielsku o Polski Konsulat. Bez słowa podał mi drukowaną kartkę z informacją po polsku, iż konsulat przeniósł się pod nowy adres, po czym dodał od siebie, że już za późno, co było oczywiste.

A więc czekać do jutra, aby dowiedzieć się, czy Szymanko jest w Pradze. Nie mogłem więcej znieść niepewności. Jeśli konsulat mieścił się tu do niedawna, musieli znać nazwiska niektórych pracowników, a w każdym razie tych ważniejszych, dyplomatów. Spytałem, czy Szymanko pracował tutaj.

- Szymanko... - mężczyzna w liberii zastanawiał się przez chwilę. - *Room two hundred fifteen.*

Gestem ręki wskazał schody niemal niewidoczne w rogu holu.

Odnalazłem właściwe drzwi na piętrze. Postawszy chwilę zapukałem raz, drugi, trzeci. Drzwi otworzyły się. Na tle oświetlonego wnętrza ukazała się szczupła sylwetka i prostokątny zarys głowy pana Szymanki. Odezwał się po czesku. Przypomniałem mu kim jestem i dopiero wtedy poznał mnie w półmroku korytarza. Zawahał się, nim mnie zaprosił do wnętrza. Niewątpliwie mój wygląd, a zapewne i zapach wzbudzały podejrzliwość u tych bliźnich, do których los uśmiechnął się. Aby uniknąć pytań, szybko wyjaśniłem mu, że po powstaniu zostałem wywieziony do Niemiec, do Zittau, która to miejscowość leży na północ od Pragi, tuż za granicą czeską, już w Rzeszy. Dowiadując się o konsulat, przypadkowo usłyszałem jego nazwisko. Pan Szymanko wyraził zadowolenie z faktu, że przeżyłem powstanie. Nic dotąd nie słyszał o moim losie, jak również o losie swojego siostrzeńca, który także walczył jako żołnierz Armii Krajowej. Rozmowa przeciągała się i zwalniała. Dodałem mimochodem, że dopiero co przyjechałem do Pragi i wprost z pociągu udałem się do konsulatu. Ku mej wielkiej uldze pan Szymanko wyraził zainteresowanie sprawą mojego noclegu. Gdy mu wyjaśniłem, że nie miałem jeszcze czasu zakrzętnąć się koło tej sprawy, zaproponował, abym, z uwagi na późną porę, przenocował u niego.

- Czy pan jadł kolację - spytał.

- Nie, jeszcze nie jadłem.

Na ścianie znajdowała się tabliczka z trzema guzikami. Obok każdego guzika sylwetka: dziewczęca z tacą, kobieca ze szczotką, i chłopięca z listem w ręku. Pan Szymanko nacisnął pierwszy guzik.

Wkrótce schludnie ubrana pracownica hotelu, czyli „slečna” przyniosła kolację składającą się z dwóch bułeczek, dwóch plasterków masła i filiżanki kawy. Ileż silnej woli wymagało spożywanie tego posiłku bez pośpiechu, od niechcenia, jednocześnie kontynuując konwersację z gospodarzem i uważając, by mi się z ust nie wymknęło słowo prawdy. Dopiero teraz, gdy napięcie opadło, odczułem głód nagromadzony od kilku dni. Wcale nie rwał mi kiszek, doświadczałem go w całym ciele. Jakby się odmrażał.

Przyszedł czas udać się na nocny spoczynek. Po prysznicu ległem do snu na kozetce, w alkowie przy korytarzu. Przez otwarte okna wlewał się przytłumiony szum żywego miasta. Nie od razu zasnąłem. Coś mi się trochę majaczyło. Gdy zamykałem oczy, powracały widziadła -fragmenty scen podróży, szpalery żołnierzy, kłowni w niemieckich mundurach, twarz policjanta z profilu. Jeszcze mi się w uszach kołatał stukot kół.

Takie odmiany losu zdarzają się w bajkach. Zasypiałem pośród kryształów, dywanów, pluszów, w samym sercu Złotej Pragi, pod dachem najelegantszego hotelu.

Obudziłem się głodny i wypoczęty. Do alkowy z odległego okna docierało tylko przyćmione światło dnia. Czekałem aż pan Szymanko wstanie. Potem szybko umyłem się i ogoliłem, moją maszynką a jego ostrą żyłką. Spożyliśmy wykwinne śniadanie składające się z dwóch bułeczek, dwóch mikroskopijnych plasterków masła i takichże krążków marmolady oraz kawy. Pan Szymanko sprolongował swoją gościnę. Wychodząc razem, umówiliśmy się na wspólną kolację po jego powrocie z pracy.

Szedłem sobie wolnym krokiem po Vaclavskim Namesti, sercu Pragi, przypominającym albo bardzo szeroką ulicę, albo bardzo długi plac, z ciekawością przyglądając się ludziom i światu, jak turysta. Umyty, ogolony, uczesany jak każdy. Stojem tylko wyróżniałem się. Szare portki, które wiele przeszły, w pralni nigdy nie były, a także służyły za piżamę. Od góry przybrudzona błękitna kurtka Luftwaffe bez oznak wojskowych, z czerwonym krzyżem na ramieniu. Było się czemu przyglądać. Trudno powiedzieć, co wprawdzie rzucało się w oczy. Chyba wszystko wprawdzie. Tłumy przechadzały się świątecznym krokiem. Dziewczyny w letnich przewiewnych sukienkach, panowie w spodniach uprasowanych w kant, wielu w marynarkach i pod krawatem. Uderzała ilość młodych mężczyzn i brak kalek. W pobliżu Ambasadora znajdował się hotel Šroubek, podobno jeszcze bardziej wykwinny. Dwie kamienice zburzone bombami - jedyne świadectwo

sześciu lat wojny. Nieliczni Niemcy musieli nosić opaski na ramieniu - białe z literą N. Na oko co trzeci, czwarty przechodzień miał przypiętą do piersi pięcioramienną gwiazdę, czasem z sierpem i młotem. Tu i ówdzie stały stragany i podręczne kuchenki, gdzie sprzedawano parówki. Policzyłem korony i podszedłem zobaczyć, ile kosztują. Musiałem przysunąć się blisko sprzedawcy, aby widzieć jakie monety przechodzą z rąk do rąk. Krótki ogonek uformował się przed parówkami i było mi trochę nijako zająć punkt obserwacyjny przy samej kuchence. Spytałem więc jednego z czekających o cenę. Wyjaśnił mi, że trzeba okazać kartki żywnościowe. Nie od razu zrozumiałem, co to znaczy „potravinove listky”.

Z planem miasta w ręku ruszyłem w kierunku najbardziej mi znanej nazwy w Pradze, Wełtawy. Karlouf Most, zaznaczony ozdobnie na mapie, przyciągnął moją uwagę.

Tu i ówdzie widziało się ślady walki, jednak domy bez szyb w oknach były równie rzadkie, jak oszklone w Warszawie. Gdzieś w wiązkach kwiatów leżały na chodniku pod murem. Napis na tabliczce informował o dacie śmierci, danych osobistych a czasem i stosunkach rodzinnych powstańca.

„Zde padl český bojovník za svobodu... otec dvou dětí”

Tabliczki te zdaje się zwano „pamětní deska” i często napis był wymalowany na kawałku deski.

Plakaty naklejone na murach i słupach ogłoszeniowych reklamowały filmy, koncerty, przedstawienia. Tytuł jednej ze sztuk brzmiał: „Polska krev”. Inne plakaty zachęcały do nauki języków obcych. - „Ruština a angličtina ovladala svet” - i do wstępowania do „Svaz Česke Mladeže”.

Minałem kilku młodych mężczyzn, na piersi mieli wstążki z napisem: „Bojovníci Rozhlasu”. Domyśliłem się, że to ci, którzy zajęli rozgłośnie radiową pierwszego dnia powstania i bronili jej aż do przyścia Rosjan, rozpaczliwie wzywając pomocy. Amerykanie nie ruszyli się, choć byli obok, między Pragą a Pilzнем. Ale bojownicy, pomyślałem sobie, zrobili powstanie po śmierci Hitlera i upadku Berlina, a i tak dostawali kłoty. „Bojovníci Rozhlasu”, a widziało się ich często, nie chodzili pojedynczo. Zwykle po dwóch, lub otoczeni dziewczynami. Postąpiłem na Karlouf Most. Wisła szersza, rozciąga miasto na dwie części. Wijąca się Wełtawa jest jego integralną częścią, łączy oba brzegi. Zaszedłem do parku. Drzewa o kulistych, owalnych koronach, nie jak te warszawskie, niesymetryczne, z odstrzelonymi gałęziami, nadpalone, koślawe.

Człowiek może umrzeć więcej niż jeden raz, zanim umrze na dobre po raz ostatni. Ja czułem się, jakbym zmartwychwstał. Jeszcze wczoraj ujrzałem ziemię obiecaną poza szpalerem żołnierzy. Potem wydany przez przyjaciół w ręce wrogów i ocalony przez pana Szymankę, współnika wrogów. Rozpierała mnie radość życia czy przeżycia. Wszystko wydawało się lekkie, piękne, kolorowe. Dzieliłem świąteczny nastrój Pragi. Leniwie przyglądając się światu z ławki ocienionej drzewem, układałem plan akcji. Albo na razie jakoś zahaczyć się w Pradze, albo podjechać do linii demarkacyjnej i nocą przejść na drugą stronę.

Młody mężczyzna w angielskim mundurze idąc, podpierał się laską. Podeszedłem i przemówiłem najlepszą angielszczyzną, na jaką mnie było stać, imitując styl Edka, wysuwając dolną szczękę do przodu, by głosowi nadać bardziej gardłowy ton. Odpowiedział po czesku, że nie rozumie. Przerzuciłem się więc na francuski, ale i tego nie rozumiał. Z kolei on spróbował niemieckiego, z którym ja miałem trudności. Moja niemczyzna miała użyteczność ograniczoną do szczególnych sytuacji - jak łapanki czy walki uliczne. Nie znalazłszy wspólnego języka przeszliśmy na polski i czeski. Dostał postrzał w nogę, walcząc w czasie powstania. Wymieniliśmy trochę informacji na temat walk w obu stolicach. Był moim rówieśnikiem. Mieszkał w Pradze i pod Pragę, gdzie jego ojciec miał dużą posiadłość, nawet własne korty tenisowe. Spytał, czy umiem grać. Przyznałem się, że nie jestem zbyt doświadczonym graczem, z czego on wydał się zadowolony. Oświadczył, że jest debiutantem i ma nadzieję podciągnąć się, mając mnie za partnera.

Rakiety w rękę nie miałem od 1939 roku, jako że Polakom pod Niemcami zabronione było używanie jakichkolwiek urządzeń sportowych. Przed wojną, przyjaciel matki mojego kolegi gimnazjalnego, Henia, postawny kapitan, brał nas czasem na korty, zapewne ze względu na matkę Henia, bardzo przystojną i wypielęgowaną blondynkę. Henio powtórzył mi, co kapitan sądzi o naszym stylu gry. Tenis w wykonaniu Henia, według kapitana, był od wdów i sierot. Jeśli chodzi o mnie, to brakło mu słów.

Ojciec Czecha miał rodzinę w Stanach Zjednoczonych i już zaczął starania o emigrację. Przyznałem się, że i ja mam tam stryja, który zmienił nazwisko na Johnson, ale nie znam jego adresu. Jego krewni mogą mi pomóc w emigracji do Stanów, oświadczył. Wspomniałem, że szukam pracy. To nie warto, rzekł, cudzoziemiec może być zatrudniony tylko przy rozbieraniu gruzów, za marne

pieniądze.

- Możesz zamieszkać u mnie pod Pragę.

On po czesku, ja po polsku - rozumiejąc się lepiej niż gdybyśmy posługiwali się tym samym językiem. Jakby nasza mowa uwolniła się od wszelkich ozdobnych zakrętasów, zawijasów, napomknień, gry słów, aluzji, kalamburów, baroku, rokoka...

Napisał mi na kartce papieru swoje nazwisko i adres w Pradze przy ulicy Revolučni 3. Podałem mu mój w hotelu Ambassador, starając się podkreślić, najlepiej jak mogłem, że żadnych powiązań natury służbowej z polskim przedstawicielstwem nie mam. Wyjeżdżał do rodziny pod Pragę tego samego popołudnia. Umówiliśmy się na następne spotkanie w tym samym miejscu.

- *Sejdeme se v utery na stejnem miste ve tři hodiny.*

Resztę dnia spędziłem, włączając się o pustym brzuchu po Pradze, ciesząc się przyszłością, układając plany, nie mając noża na gardle po raz pierwszy od wyjazdu z Warszawy.

Przy kolacji usiłowałem mówić jak najwięcej o powstaniu, aby mniej czasu pozostało na inne tematy. Nie wiedząc na ile mogę zaufać panu Szymance, postanowiłem nie ufać mu wcale. Ocalił mnie wprawdzie udzielając gościny, był jednak tylko ślepy narzędnikiem w rękach opatrności. Ale czy aby zupełnie ślepy? I jeśli ślepy, to na jak długo.

Telefony w rejonie Warszawy nie funkcjonowały, ale mógł się skomunikować z rodziną, posługując się kanałami dyplomatycznymi lub wojskowymi. A wtedy dowiedziałby się jakiejś części prawdy. Pan Szymanko zmienił się od czasu, gdy go widziałem ostatni raz przed rokiem. Nie to żeby pogrubiał, osiwiiał, czy wyłysiał. Bezbarwny był jak zawsze. Krótko przycięte jasne włosy, zaczesane a raczej zaszczotkowane do góry. Ust wprawdzie nigdy szeroko nie otwierał i głosu nie modulował, teraz jednak mówił przez ściśnięte wargi, nieco je wydymając, jakby z wysiłkiem wypychając słowa na ten świat boży. Przypomniało mi to od razu, jak to rodacy, opowiadając angielskie dowcipy, cedząc słowa przez zęby, naśladowali sposób mówienia angielskich lordów.

Pan Szymanko wyjaśnił, na czym polega jego praca. Ambassador jest wodzem naczelnym, a on zajmuje stanowisko szefa sztabu.

Przed udaniem się na spoczynek uchyliłem rąbka tajemnicy odnośnie moich planów. Ukończyłem dwa lata studiów medycznych na podziemnym uniwersytecie. Warszawa jest zniszczona. Po tylu

latach okupacji upłynie dużo czasu, nim wyższe szkolnictwo stanie na nogi.

- Czy są jakieś szanse dostania się na medycynę w Pradze - spytałem.

Pan Szymanko obiecał zasięgnąć języka, ostrzegając mnie jednocześnie, abym sobie nie robił wielkich nadziei, gdyż, pomijając już inne trudności, na pierwszy rok medycyny zgłosiło się dwadzieścia tysięcy kandydatów. Wątpił czy zaliczą mi dotychczasowe studia. Nic nie wspominał o mojej przedłużającej się wizycie, z czego wywnioskowałem, że mam dach nad głową i dwa mikroskopijne posiłki zapewnione przynajmniej na następny dzień.

Trzeci dzień w Pradze, licząc także dzień podróży do Rokiczan i z powrotem, spędziłem zwiedzając miasto, wypoczywając w parkach, rozmawiając z przygodnymi sąsiadami. Imitowałem czeski akcent, przekręcałem polskie słowa na czeskie. Wstąpiłem na Wilsonovo Nadraží przestudiować rozkłady jazdy i rozejrzeć się. W przydworcowym parku, tam gdzie spędziliśmy noc z Edkiem, wciąż leżała nać marchwi, już wyschnięta.

Obszedłem stare miasto i jego rynek wypalony w czasie powstania, które wybuchło na dwa czy cztery dni przed kapitulacją Trzeciej Rzeszy. Jak Niemcy mogli dokonać tych zniszczeń w tak krótkim czasie? I w ogóle, że im się jeszcze chciało atakować w ostatnich godzinach wojny, w tydzień po śmierci Hitlera i upadku Berlina. Byłoby gorzej, gdyby własowcy nie przeszli na stronę Czechów. Pomimo iż miałem myśli zajęte własnymi sprawami, drażnili mnie nieco ci „Bojownicy Rozhlasu”. My, niedobitki, warszawscy powstańcy, moglibyśmy obwiesić się takimi napisami od brody do bioder.

Dobrze przed trzecią zjawiłem się w umówionym miejscu, w parku za Karloum Most. Czekałem, czekałem... Nie przyszedł o oznaczonej godzinie. W miarę jak przybywało minut dzielących mnie od trzeciej po południu, coraz bardziej wątpiłem we własną pamięć. Może się przesłyszałem, może to nie była trzecia. Może w innej części parku. Wstawałem, chodziłem, zataczając małe koła, wypatrując jego charakterystycznej sylwetki, pochylonej nieco nad laską i zielonego munduru na tle zieleni parku. Może pociąg się spóźnił albo zepsuł? Zbliżał się czas kolacji, musiałem wracać do hotelu.

Nazajutrz rano odszukałem dom przy ulicy Rewolucni pod numerem trzecim. Był to masywny nowoczesny budynek. Nazwiska

Czecha nie było na liście lokatorów. Tym razem nie mogłem wątpić we własne zmysły. Na kartce papieru, którą trzymałem w ręku, sam napisał swoje nazwisko i adres. Pokręciłem się po mieście, zastanawiając się, co dalej.

Wróciłem na Revolučni 3, aby upewnić się, czy czegoś nie przeoczyłem. Poszedłem do parku za Karloum Most, może tam się przechadza. Potem jeszcze raz wróciłem na Revolučni 3, najwidoczniej nie mogąc zaakceptować faktu, że była to tylko fatamorgana. Tym razem ukazał się facet o wyglądzie kamerdynera, w uniformie i w czapce z daszkiem. Upewnił mnie, że nikt o takim nazwisku tu nie mieszka. Wróciłbym może jeszcze raz, tak trudno mi było pogrzebać nadzieje, ostrożność jednak przeważała. W budynku mieściły się też jakieś biura. Sądząc po jego wymiarach, musiało tu być więcej mieszkań niż wskazywała lista lokatorów. Wydawało mi się to nie bez znaczenia. Czyżby niektórzy lokatorzy woleli anonimowość?

W czasie konwersacji w parku na ławce dowiedziałem się o istnieniu biura meldunkowego. Poszedłem i tam. W rejestrze mieszkańców Pragi nie było jego nazwiska. Ta zagadka nie dawała mi spokoju. Przy najbliższym posiłku skierowałem rozmowę na język czeski. Pan Szymanko chętnie podzielił się swoją wiedzą, zapewne nie zauważywszy, jakiego wstrząsu doznałem w czasie tej lekcji. Otóż „utery” wcale nie znaczy jutro, dowiedziałem się, ale wtorek. Jutro jest po czesku „zitra”. Umawiając się z Czechem myślałem, że „utery” znaczy jutro.

Doznałem także drugiego wstrząsu. Pan Szymanko, niby przypadkiem, a było to zrećźnie wplecione w konwersację, napomknął, że w następną niedzielę wybiera się gdzieś na północ od Pragi i spytał mnie coś o rozkład pociągów w Masarykovo Nadraži. Ja rzekomo przyjechałem z północy i wysiadłem na tym dworcu właśnie. Oczywiście nic na ten temat nie mogłem powiedzieć, nawet nie wiedziałem, gdzie jest ten dworzec. Powinienem był to sprawdzić zaraz po spędzeniu pierwszej nocy w hotelu, ale olśniony odmianą losu zaniedbałem.

Otworzyła się więc dziura w tkaninie moich kłamstw i nie dało się jej na poczekaniu załatać. Pan Szymanko nigdy otwarcie nie wyraził wątpliwości co do rzekomego celu mojej podróży, z Dolnego Śląska via Praga do Polski. Niemniej zdawało mi się, że toczyliśmy pojedynek na niewidzialnej szachownicy, niewidzialnymi figurami, którymi były słowa. Ja kłamałem udając, że mówię prawdę, on zaś

usiłował odkryć prawdę, udając, że nie usiłuje. Opukiwał mnie dyplomatycznie, delikatnie, abym nie zauważył, że opukuje, nasłuchując fałszywego rezonansu. Ja zaś udawałem, że nie zauważyłem opukiwania. Ja też delikatnie go opukiwałem, udając turystę, usiłując wydobyć z niego informacje przydatne dla uciekiniera. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że i on mógł podejrzewać, iż byłem prowokatorem nastanym z Warszawy lub skądinąd. Następnego dnia, wtorek, czyli po czesku *utery*, spędziłem kręcąc się po mieście, które wciąż wydawało mi się miejscem bajkowym. Spadł mi ciężar z piersi. Już na godzinę wcześniej, o drugiej po południu, zasiadłem w parku na umówionym miejscu. Minęła trzecia, czwarta, nie przyszedł.

Pośpieszyłem na kolację do hotelu. Pan Szymanko poradził mi zarejestrować się w biurze dla „przesiedleńców”, gdzie mogłem otrzymać skierowanie na darmowe posiłki. W Pradze, wyjaśnił, żywność jest wyłącznie na kartki, odnosi to się także do hoteli. On jako członek korpusu dyplomatycznego, ma pewne ulgi, ale bardzo skromne. Moje kolacje i śniadania obciążają jego pulę, bardzo ograniczoną. Jeśli to się przeciąga, polska ambasada i jakiś czeski urząd muszą zaaprobować dodatkowy przydział żywności. Sam już zauważyłem, że na ulicznych stoiskach, bez kartek kupić można tylko lemoniadę.

Rutyna naszego życia była następująca. Obudziwszy się wcześniej, czekałem aż pan Szymanko wstanie, umyje się, ogoli, potem szedłem do łazienki. Po śniadaniu wychodziłem pierwszy, aby go niczym nie krępować, nawet jeśli, jak w niedzielę, nie musiał rano iść do pracy. Wracałem tuż przed godziną kolacji... Po kolacji też zwykle wychodziłem, aby go nie przeciążać rozmową.

Następnego rana poszedłem do wskazanego urzędu i otrzymałem kartki na posiłki oraz przydział noclegu na trzy dni. W parku natknąłem się na Lulę. Trzymała dystans. Nie wyjawiała, gdzie mieszka i czemu zawdzięcza zwolnienie. Odniosłem wrażenie, że Edek nie powiedział mi wszystkiego o jej zatrzymaniu. Więcej jej nie zobaczyłem. Wróciwszy do hotelu dowiedziałem się, że młody Czech w mundurze i z laską dopytywał się o mnie u portiera na dole. Adresu nie zostawił. Żegnając się z panem Szymankiem, podziękowałem mu za gościnę i powiadomiłem go, że wracam do Polski. W rzeczywistości przeniosłem się do kwater przeznaczonych dla uchodźców.

Wiadomość o wizycie w hotelu mojego niedoszłego przyjaciela

wstrząsnęła mną, choć sama w sobie nie zmieniała mojej sytuacji. Rozdrapała ranę, która nawet nie zaczęła się zablizniać. Tłumaczyłem sobie dotąd w różny sposób, dlaczego dał mi fałszywy adres. Teraz przyszło mi do głowy, że jego zamożny a może i możny ojciec, dowiedziawszy się, iż syn nawiązał przyjaźń z jakimś obdartym osobnikiem, który mieszka u polskiego konsula, a jakoby chce wyjechać do Ameryki, nakazał synowi zerwać wszelki kontakt. Ojciec mógł także polecić dozorczy przy Rewolucji 3 nie udzielać żadnych informacji osobnikowi, którego łatwo zidentyfikować. Mój los odmieniłby się, gdybym był w hotelu, kiedy przyszedł. Odtąd, aż do końca pobytu w Pradze, każdego dnia przed trzecią po południu zachodziłem do parku na umówione miejsce.

Po doświadczeniu w Rokiczanach postanowiłem unikać Amerykanów. Poszedłem więc do angielskiego konsulatu, aby zasięgnąć więcej informacji o linii demarkacyjnej. Młody dyplomata w mundurze pokazał mi na ściennej mapie, którędy przebiega. Słaba znajomość języka nie tylko uniemożliwiła mi nawiązanie osobistego kontaktu, o ile to w ogóle było osiągalne, ale i pełne zrozumienie tego, co wyjaśniał. Gdy przeciągałem rozmowę, starając się dowiedzieć, jak silnie jest linia demarkacyjna strzeżona i jak ominąć posterunki, jednocześnie unikając zadawania bezpośrednich pytań, powiedział mi „good day”. Przetłumaczyłem to sobie na „dzień dobry”, ale po tonie odgadłem, że moja audyencja dobiegła końca.

Głównym źródłem mojej wiedzy o Pradze, jej instytucjach, urzędach, byli przygodni sąsiedzi w parkach na ławkach, zwykle ludzie starsi. Pod drzewami chronili się przed palącymi promieniami słońca. Czytali gazety bez pośpiechu, gapili się na ten świat, zawsze skorzy do rozmowy. Dawali mi rady, adresy. Na Malostranské Namesti jakaś jejmość namawiała mnie, abym sobie znalazł dziewczynę, ożenił się i zamieszkał w Pradze, bo to takie piękne miasto. Poprzez korony drzew sączyło się zielonkawe światło. Klomby, gazony, dzieci uganiające się po ukwieconych trawnikach. Było coś niepokojącego w tym normalnym życiu. Chwilami chciało mi się siedzieć i siedzieć w cieniu drzewa, i przyglądać się przez przymrużone powieki, jakbym chciał, aby galopująca historia mojego życia nareszcie zatrzymała się.

Wyżywienie na mojej nowej kwaterze było niezłe. Oczywiście brakło wykwintu hotelu Ambassador. Zamiast dziewczyny w fartuszkach, czyli „slečnej” serwującej posiłki na posrebrzanej tacy, stało się w kolejce do kotła razem z setkami przesiedleńców. Wielu w ubraniach

nie zmienianych od czasu wojny. Z więzień, z obozów, z robót; nieraz zawszonych, chorych, niedomytych. Zamiast plasterków masła, krążków marmolady, rumianej bułeczki i mikroskopijnej kielbaski - ćwiartka ciemnego chleba i zupa na krupach, czyli psia kasza, okraszona tym i owym. Na jedzenie nie mogłem narzekać. Z natury jestem wszystkożerny, nawet tran mi smakował jako dziecku. Z kulinarnego punktu widzenia można mnie uznać za idealnego konsumenta. Natomiast potrzebuję się wyspać. A z tym było gorzej. Dostałem przydział na ogólną salę, gdzie znajdowało się ze sto prycz z materacami. Już nie pamiętam czy piętrowych. Musiała być to uprzednio duża sala szkolna lub audytorium. Czarna tablica wisiała na jednej ze ścian, a przed nią, w pewnym oddaleniu, stał podłużny stół, jak dla wykładowcy. Były jeszcze wolne prycze, gdy wszedłem. Niektórzy noclegowicze przeglądali prycze w poszukiwaniu pluskiew. Mając już bogate doświadczenie, jeśli chodzi o pluskwy - Warszawa była ich pełna, przeżyły powstanie i srogą zimę w lodowatych ruinach - ułożyłem się na stole przed tablicą, słusznie, jak się potem okazało, zakładając, że w stole się nie gnieźdzą. Wkrótce sala wypełniła się i zgaszono światła. Ze wszystkich kątów dobiegało chrapanie. Nie trwało to długo. Rozległy się coraz liczniejsze i głośniejsze pomruki, a potem przekleństwa pod adresem pluskiew i naszych gospodarzy, w wielu językach, głównie słowiańskich. Zrozumienie ich nie nastęrczało mi trudności, jako że znałem już rosyjski, osłuchiałem się z czeskim, poza tym podstawowe słowa odnoszące się do rodziny, seksu i organów ciała są podobne. Zapalono światła. Pluskwy wychodzą na żer w ciemności. Ludzie wstawali z prycz, rozbierali się, wytrząsali pluskwy z odzieży i rozdeptywali, rozgniatali je na ścianach.

Niezwykły to był widok - zawsze skłócenie Słowianie, tym razem zjednoczeni przeciw wspólnemu wrogowi. Większość noclegowiczów żądała zgaszenia światła, które w spaniu bardziej im przeszkadzało niż pluskwy. Ciemność nie trwała długo. Znowu podniosły się głosy. Zabłysnęły żarówki. Przekleństwu towarzyszyło przytupywanie i odgłos uderzeń butów o ściany. Powtórzyło się to kilkakroć, za każdym razem powstawał spór, zgasić czy nie zgasić. W końcu zwolennicy światła przeważyli, paliło się aż do samego rana. Nie robiło mi to żadnej różnicy. Zarzuciłem palto na głowę, ale i tak ledwo drzemałem, obolały od leżenia na twardej desce.

Jeszcze od pana Szymanki otrzymałem adres Polaka, studenta medycyny, który wynajmował pokój przy ulicy Jindřiskiej, niedaleko

Vaclav-ske Namesti. Celem mojej wizyty było wywiedzieć się, czy mógłbym zapisać się na medycynę i w ten sposób otrzymać kartki żywnościowe, uzyskać prawo pobytu oraz dokument uprawniający do przekroczenia linii demarkacyjnej. Nie wykluczałem kontynuowania studiów w Pradze, gdyby mnie przyjęto. Zachodziłem na Jindřiską kilka razy, aż w końcu studenta zastałem. Mój rozmówca zrobił wszystko, aby mnie zniechęcić. Uwypuklił przeszkody nie do obejścia, nie udzielił mi żadnych praktycznych informacji. Odmalował życie studenta jako harówkę tak wyczerpującą, że nie pozostawało sił na zadawanie się z płcią odmienną. Zaledwie przekroczyłem próg, zobaczył we mnie jakby konkurenta.

Nie miałem pieniędzy na kupno biletu do Pilzna. Fatamorgana roz wiała się. Dostanie się na uniwersytet wymagałoby wiele czasu i zachodów. Musiałem zarobić na życie. W urzędzie zatrudnienia dano mi do wyboru albo pracę w Pradze przy rozbiórce gruzów, albo na farmie znajdującej się na skraju miasta. Wizja obfitości serów, jajek, razowego chleba i to bez „potravinovych listków” z miejsca olśniła mnie. Miałem się zgłosić do biura następnego rana. Resztę dnia poza czasem posiłków, które wydawano w starym klasztorze, spędziłem trochę chodząc po mieście, a głównie siedząc w parku, gdzie upał nie dokuczał. Tłumy pluskały się w Wełtawie. Jak zwykle wdawałem się w rozmowy, czytałem porzucone gazety. Było coś fascynującego w tym języku jednocześnie obcym i nieobcym. Polskiemu JPP - jedna pani powiedziała (jako źródła informacji) odpowiadało czeskie - „jedna pani povidala”. Skrót ČSD, czyli Česko-Slovenske Drahi (to znaczy koleje) parafrazowano: „Človece Sed Doma”. W klasztorze, gdzie nas karmiono, rozbrzmiewały wszystkie słowiańskie języki. Tak ucho do nich przywykło, iż czasem ulegałem złudzeniu, iż słyszę polski. Te same słowa wypowiedziane w nieco zmienionej formie, w innej tonacji, w innym rytmie, a jednak zrozumiałe. Jakby ta sama melodia wygrywana na różnych instrumentach. Najwidoczniej nie byłem jedyny, który nie wracał do własnego kraju. Wdałem się w rozmowę z trzema młodymi mężczyznami, którzy korzystnie odbijali od większości ubiorem i manierami. Pochodzili oni z zakarpackiej Ukrainy, dopiero co przekazanej przez Czechów Związkowi Radzieckiemu. Wahali się, czy wracać w rodzinne strony.

Gdy zjawiłem się w biurze następnego rana, przydzielono mi kilku czarniawych mężczyzn lilipuciego wzrostu. Miałem być ich przewodnikiem czy przywódcą w drodze z biura do farmy. Ci moi

przyszli współpracownicy nie rozumieli żadnego europejskiego języka poza własnym, sycylijskim. Co by się do nich nie powiedziało, odpowiadali czymś w rodzaju „no compren”.

- *Parlez vous frangais?*

- *No compren.*

- *Deutsch sprechen?*

- *No compren.*

Czasu spędzonego na robotach w Rzeszy nie wykorzystali na naukę języka, jak można było sądzić po ich zasobie niemieckich słów. *Nichts, Arbeit, schnell* - to wszystko.

Pół Europy, jeśli nie więcej, nauczyło się od Niemców tych kilku podstawowych do życia słów: *Arbeit, schnell, nichts, kaput, scheiss.*

Znałem odrobinę włoskiego. *Lavorare... molto mangiare.*

Ucieszyli się, jak zagubione dzieci na widok znajomej twarzy. Przekręcałem łacińskie rzeczowniki dodając „o” na końcu.

Wysiadłszy na końcowej pętli, zasięgnąłem języka. Czas jakiś szliśmy wzdłuż szosy, potem polną drogą. Najoczywiejście farma nie znajdowała się na skraju miasta, jak to mnie w biurze poinformowano. Łąki, miedze, samotne grusze i tzw. łany zbóż jeszcze nie złociste, po obu stronach. W miarę marszu wizje jajek, chleba i serów traciły na ostrości, ustępując wspomnieniom Złotej Pragi - raj utraconego... mosty na Wełtawie, parki, kolorowe tłumy spacerujące wieczorem po Vaclavske Namesti przy blasku ulicznych latarni... A tu na głuchej wsi - macać kury, doić krowy, wiązać snopy.

Odcięty od świata nikogo nie poznam, niczego nie załatwię. Nie zdając sobie z tego sprawy, zwalniałem kroku i już szedłem ostatni. Zatrzymałem się. Sycylijczycy także przystanęli. Dopiero gdy zrobiłem ruch ręką w kierunku niewidocznego miasta, zrozumieli o co chodzi. Wpadli w gniew, wymachiwali, wyzywali. Zawróciłem, a oni jeszcze stali bez ruchu, czas jakiś patrząc za mną, zanim poszli dalej.

Spędziwszy noc na stole przed tablicą, następnego rana udałem się do biura zatrudnień po skierowanie do pracy przy odgruzowywaniu. Nadszedł młodzik pod krawatem, który rozpoznawszy mnie oświadczył, że żadnej innej pracy nie dostanę, ponieważ wczoraj otrzymałem przydział itp., itd. Przydział noclegu i posiłków skończył się. Nic nie pozostawało, jak tylko kupić mapę, kompas, bilet do Pilzna i próbować nocą przedostać się na drugą stronę. A pieniędzy nie miałem.

A jeśli Rosjanie mnie złapią, albo Amerykanie, albo

miejscowa ludność? Może pojechać do Szczecina i tamtędy przedostać się do Anglików. Dostałem, jako repatriant, darmowy bilet z powrotem do Zebrzydowic. W rzeczywistości był to odwrót na pozycję wyjściową, a nie alternatywa.

Z podróży pomiędzy Wilsonovo Nadraži a granicą nie zapamiętałem nic, jakbym przespał, nic poza jedną sceną.

Siedzę sobie w parku, jeszcze po czeskiej stronie, gdzieś na Zaolziu, chyba to Cieszyn. Park jakiś opustoszały, bezbarwny, nie taki jak te w Pradze, jakby ciemne chmury zasnuwały niebo. Wdaję się w rozmowę z niemłodym mężczyzną obok, tutejszym Polakiem. Pytam do kogo tu miejscowa ludność chce należeć, do Polski czy do Czech?

- Do Czech - powiada.

- A dlaczego?

- Za Czechów to tak było... miałeś daleko do fabryki, to ci przydzielili rower, a ten co mieszkał blisko, nie dostał A za Polski to dostałeś rower, jeśli znałeś tego, co przydzielał.

Przy kontroli granicznej w Zebrzydowicach powitali nas słowami: Będziecie bardzo zadowoleni z powrotu do Polski.

Nie wiedziałem, że otwiera się przede mną długa stalinowska noc.